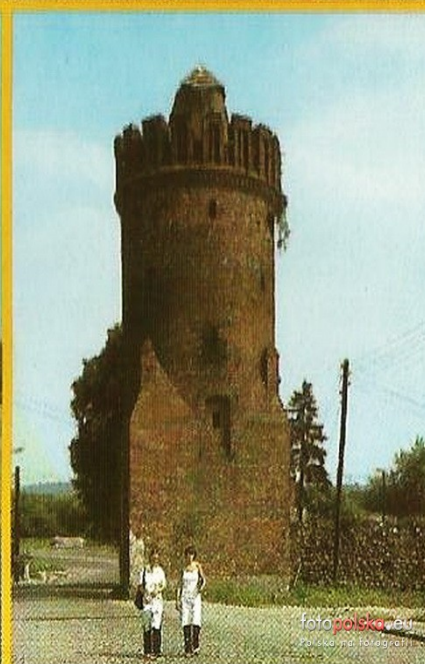


Recz na rzece

Recz. Niezapomniane.



Recz. Niezapomniane!

W piątkowe popołudnie 29 marca 2019 roku w hali sportowo - widowiskowej w Reczu odbyły się uroczystości z okazji 74. ROCZNICY POLSKOŚCI na ZIEMIACH ZACHODNICH. Organizatorzy - Szkoła Podstawowa im. Stefana Czarnieckiego w Reczu, Towarzystwo Miłośników Recza, Gmina Recz oraz Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury i Sportu w Reczu - postanowili uczcić postaci, miejsca oraz historie naszej gminy, które związane są z dawnymi zakładami pracy. Wydarzenie odbywało się pod hasłem „Recz. Niezapomniane!”.

Bardzo istotną rolę w tworzeniu się polskości na ziemi reczańskiej odgrywały powstające po wojnie i w późniejszym czasie zakłady pracy, w których zatrudnienie znajdowali mieszkańcy naszej gminy. Praca tych ludzi i ich zaangażowanie mają dzisiaj niebagatelne, historyczne znaczenie.

Fragmentami wywiadów i wspomnień, którymi podzielili się: p. Elżbieta Kosito, p. Anna Huszcza, p. Wiesława Wyroślak, p. Mieczysław Kuś, p. Mieczysław Sakowicz, p. Tomasz Flejter, p. Jan Witek, p. Kazimierz Grębosz przybliżono te miejsca, które kiedyś stanowiły fundament życia mieszkańców naszej gminy. A ponieważ rozwój zakładów pracy, o których była mowa, przypadł na lata PRL-u, zatem scenografia wydarzenia również nie była przypadkowa.

Pierwszą częścią uroczystości było sympozjum naukowe pn. „Historia Recza w kronikach zapisana”. Prelegentami byli:

- mgr Piotr Pawłowski - przedstawił krótki wykład pt. „Historia Recza w kronikach zapisana”. Warto dodać, że częścią wykładu był fragment wywiadu, którego udzieliła Radiu Szczecin Pani Janina Pawłowska.*
- dr Eryk Krasucki z Instytutu Historii i Stosunków Międzynarodowych w Szczecinie, który przedstawił wykład i prezentację pt. „Rok 1945 na Pomorzu Zachodnim”.*

Po części naukowej odbył się program artystyczny pt. „Recz - jak za dawnych lat”, w którym przedstawiono fragmenty wywiadów udzielonych przez mieszkańców miasta na temat starych zakładów pracy, które kiedyś funkcjonowały w Reczu. Wspominaliśmy m.in. restaurację Basztową i Hetmańską, mleczarnię, rozlewnię, cukiernię Pana Flejtra, początki Remoru, kartoniarnię, Gminną Spółdzielnię, księgarnię. Słuchaliśmy również wierszy o Reczu i piosenek. Na zakończenie każdy uczestnik mógł obejrzeć wystawę zdjęć i pamiątek zatytułowaną „Recz na rzeczy - rzeczy z du-

szą”.

Ważnym - edukacyjnym - walorem całych obchodów 74. ROCZNICY POLSKOŚCI na ZIEMIACH ZACHODNICH były również lekcje o historii Recza, w których uczestniczyli uczniowie szkoły.

W ciągu całego dnia relację z wydarzenia oraz reportaż o Reczu przygotowywała Telewizja Szczecin. Reportaż ukazał się w dniu 2 maja 2019 r. pt. „Recz. Niezapomniane”.

Fotorelacja z wydarzenia znajduje się na facebooku Gminy Recz, Środowiskowego Domu Samopomocy oraz na facebooku i stronach internetowych Szkoły Podstawowej w Reczu.

Niniejsza publikacja to efekt pracy uczniów Szkoły Podstawowej im. Stefana Czarnieckiego i Gimnazjum im. Adolfa Długosza w Reczu: Hanny Szremskiej, Angeliki Sikory, Aleksandry Tomicz oraz Sebastiana Kołodziejewskiego, którzy przy wsparciu swoich nauczycieli przeprowadzili wywiady z mieszkańcami i w ten sposób dokumentowali fragment historii naszej gminy.

Zdjęcia przedstawiające historię Recza w czasach powojennych pochodzą ze zbiorów Janiny Pawłowskiej oraz zbiorów pozyskanych z innych źródeł.

Publikacja została sfinansowana dzięki wsparciu Gminy Recz.



Organizatorzy 74. ROCZNICY POLSKOŚCI na ZIEMIACH ZACHODNICH. „Recz. Niezapomniane” :



Historia Recza w „Kronikach” zapisana

„Mimo, że to jest takie małe miasteczko, ale to miasteczko zawsze, od początku do dzisiejszego dnia jest ciągle pełne takiego życia, a także tajemnic. Odkrywa się na nowo. Ale tu się ciągle coś dzieje ... Zdawałoby się: „No co się może dziać w takim małym miasteczku?”

Czy jestem szczęśliwa? Jestem szczęśliwa, muszę to powiedzieć, bo mam nadzieję, że jeszcze moje prawnuki być może pójdą do biblioteki i zobaczą: „Aha ... to nasza prababcia pisała”, jak mnie już na tej ziemi nie będzie. A więc dla mnie to jest wielka radość, że zostawiam tutaj, w tym miejscu, gdzie przeżyłam tyle lat i jeszcze żyję, jakąś pamiątkę po sobie. Bo z resztą, powiem szczerze, takie było moje zadanie.



Ja sobie sama to zadanie postawiłam! Że muszę coś po sobie zostawić na tej ziemi! A ponieważ wykształciłam tylu uczniów, nauczyłam ich pisania listów do mamy, nauczyłam ich pisania podań, życiorysów i całej wiedzy polonistycznej, mam tą satysfakcję, że to, co zrobiłam w swoim życiu, jest bardzo wartościowe i przydatne dla wielu, wielu ludzi ...”

Janina Pawłowska

O piekarni Jana i Józefa Flejtrów rozmowa z Panem Tomaszem Flejtre

Proszę powiedzieć, od kiedy sięgają Pana wspomnienia związane z Reczem. Proszę też opowiedzieć o związku z Reczem Pana ojca.

Ja urodziłem się w Reczu. Jestem mieszkańcem Recza od urodzenia. Natomiast udzielając wywiadu muszę sięgnąć pamięcią znacznie dalej, ponieważ chcemy rozmawiać o piekarni, która prowadziła moja rodzina, a to zaczęło się od mojego dziadka. Piekarnię prowadził mój dziadek, potem mój ojciec tak, że to była taka dwupokoleniowa działalność. Dlatego muszę się cofnąć aż do tamtych czasów. W ogóle piekarnia mojego dziadka i ojca znajduje się na ul. Ratuszowej. W takim niepozornym, wielorodzinnym budynku. To jest poniemiecka kamienica. Pewnie wszyscy są w stanie pokazać na mapie piekarnię, która znajduje się na ul. Środkowej, ponieważ ona jest dosyć charakterystyczna. Natomiast niewiele osób - zwłaszcza młodych - wie, że w tym budynku przy ul. Ratuszowej cały parter zajmowała piekarnia z cukiernią.

Budowa tego budynku zaczęła się w 1930 r. a zakończono całą inwestycję w 1933 r. Już wtedy te dolne, parterowe pomieszczenia były przeznaczone na piekarnię. I tam w latach 1933 - 1939 do wybuchu II wojny światowej, i również krótko w czasie samej wojny, funkcjonowała piekarnia. Moja rodzina przejęła ten zakład pracy, tę piekarnię, dopiero w roku 1945. Mój dziadek - Jan Flejter - pochodził z piekarskiej, licznej rodziny z województwa bydgoskiego. Po zakończeniu II wojny światowej, gdy do Recza zaczęli napływać osadnicy, te tereny zostały wyzwolone czy zdobyte, wczesną wiosną przez wojska radzieckie. Po tym okresie zaczęli napływać właśnie osadnicy. Wówczas mój dziadek z województwa bydgoskiego, już jako piekarz po praktykach piekarskich, przyjechał tutaj do Recza. A że był to okres odbudowy tego miasta - wiemy przecież, że Recz był prawie w 75 % zniszczony i do Recza napływało bardzo dużo osadników - trzeba było tych ludzi nakarmić. Dlatego też dziadek dostał ten dom wraz z piekarnią, żeby prowadzić działalność dla mieszkańców Recza. Dziadek przyjechał tu dokładnie w maju 1945 roku i od razu zajął się swoim rzemiosłem. Piekarnia była w pełni wyposażona, bo wcześniej funkcjonowała przecież piekarnia niemiecka, także część urządzeń pozostała. Ówczesne władze polityczne pozwoliły mu tę działalność prowadzić do roku 1949. Później nastąpiła nacjonalizacja, bo wcześniej była to prywatna działalność. Zaczęły powstawać gminne spółdzielnie, PGR - y; nieprzychylnym okiem patrzono na własność indywidualną i prywatną. Dlatego też, ze względu na rządowe utrudnienia i inne restrykcje, które dziadkowi nie pozwalały tej piekarni prowadzić, zawiesił on działalność do końca 1956 roku. Wówczas nastąpiła tzw. odwilż polityczna, przywódcą państwa został Władysław Gomułka i te restrykcje, o których mówiłem, złagodzone, pozwolono prowadzić działalność prywatną. Dziadek ponownie uruchomił tę piekarnię z końcem 1956 roku i prowadził ją bez przerwy do roku 1976. Wtedy przeszedł na emeryturę i oddał piekarnię w ręce mojego ojca. Tak więc mój ojciec Józef Flejter prowadził od tego roku piekarnię na swój rozrachunek. Natomiast mój dziadek, będąc na emeryturze, postanowił powrócić w swoje dawne strony do województwa bydgoskiego.

Śmiejemy się, że mój tata z mlekiem matki odziedziczył ten biznes piekarniczy, ponieważ nawet urodził się w tej piekarni, dosłownie ... bo babcia powiła go na posadzce magazynu mąki w piekarni. Pomagała bowiem dziadkowi przy produkcji - produkcja była sensu stricte rzemieślnicza - maszyn nie było - dlatego wszystko cała rodzina robiła ręcznie. Nawet babcia pomagała w tej piekarni. Pracowała do 9 mie-

siąca ciąży, no i tak się stało, że urodziła mojego ojca na posadzce w tym magazynie mąki. Śmiejemy się, że ojciec od samego urodzenia zajmował się pracą w piekarni.

Więszzego doświadczenia mieć nie można...

Tak, to było w 1947 roku, jak mój ojciec się rodził. Ojciec przejął piekarnię, jak mówiłem, w 1976 roku i prowadził ją aż do swojej śmierci - do roku 2001. Sama piekarnia funkcjonowała jeszcze około pół roku po jego śmierci, gdyż trzeba było dokończyć wiele spraw, np. ojciec szkolił uczniów i trzeba było im zapewnić dokończenie praktyk i szkoleń. Praktycznie piekarnia ojca nie funkcjonuje od roku 2002.

A Pan pracował w tej piekarni?

Tak... raczej pomagałem, może tak powiem. Nie pracowałem, a pomagałem ojcu w wolnej chwili. Ponieważ zarówno mój ojciec jak i ja, kończyliśmy tę samą Szkołę Przemysłu Spożywczego w Bydgoszczy. Ja ukończyłem szkołę w roku 1994 - dokładnie było to Technikum Przemysłu Spożywczego w Bydgoszczy. Znając się trochę na rzeczy, pomagałem ojcu w tej piekarni.

Jest to ładny kawałek historii - od 1945 roku do 2001...

No z małymi, zaledwie kilkuletnimi, przerwami ta piekarnia funkcjonowała i znakomicie dawała radę. W międzyczasie powstała piekarnia GS - owska, którą prowadzi teraz Pan Nykiel. Te dwie piekarnie pracowały na to, aby wyżywić trzytysięczną społeczność naszego miasta i okolic, bo po pieczywo przyjeżdżali również ludzie z najbliższych wiosek.

Proszę powiedzieć, jak wyglądała praca w tej piekarni?

Praca w piekarni to ciężka praca. Z tego, co pamiętam, mój ojciec pracował po 16-17 godzin na dobę. Praca zaczynała się od godziny 20. wieczorem, gdzie trzeba było zarobić zakwas na produkcję nocną. Ten zakwas fermentował przez około 3 godziny i po godzinie 23. z tego zakwasu zaczynało się pieczenie pieczywa: chlebów, bułek... Ta produkcja trwała do 6-7 rano. Później ok. godziny 7-8 zaczynała się produkcja cukiernicza. Ta produkcja cukiernicza trwała do godziny 14-15. Ojciec rzadko kiedy sypiał. Drzemał przez godzinę lub dwie i dalej do pracy. Ze względów zdrowotnych było to dla niego duże obciążenie i przedwcześnie zmarł.

Wówczas - za złotych czasów tej piekarni - pamiętam jak ojciec wspominał, że ludzie ustawiali się w kolejkach już o 23. w nocy i potrafili czekać te 6-7 godzin, aż rozpoczynała się sprzedaż. Jeśli ktoś chciał mieć ciepłe i świeże pieczywo, musiał swoje „wystać” - nie było jak teraz, że można dostać produkt na konkretną godzinę. Między godziną 7. a 9. rano w sklepiku na parterze budynku - w takim malutkim pomieszczeniu - obsługę klienta musiały prowadzić aż 3 ekspedientki, ponieważ trzeba było obsłużyć głównie młodzież szkolną ze Szkoły Podstawowej w Reczu i rodziców z zakupami. Wtedy do naszej szkoły uczęszczało ok. 700 uczniów. Taka była już tradycja, że rano przychodziło się po butki do Flejtra na śniadanie, a dopiero potem do szkoły. Ruch w sklepiku był bardzo duży, można powiedzieć, że było to aż zadziwiające. Sama szkoła zamawiała wówczas 300 bułek słodkich, prowadząc dożywianie na terenie placówki. Później to dożywianie dzieci w szkole zmniejszyło się i w roku 2001, tuż przed śmiercią ojca, zamawianych było tylko chyba 20 bułek - na posiłki dotowane przez opiekę społeczną. Ale wcześniej ta produkcja szła pełną parą.

Mówimy o latach 70.?

To były lata 80., gdy ta produkcja była największa. Można powiedzieć że od 1976 do końca lat 80. to były takie złote czasy.

A proszę powiedzieć, skąd taka popularność tego miejsca wśród mieszkańców. Wiemy, że bardzo dużo osób z Recza ma bardzo miłe wspomnienia związane z piekarnią.

Myślę, że duża popularność wynikała z tego, że była to jedyna, taka typowo rzemieślnicza, piekarnia na tym terenie. Piekarnia, w której prowadziło się produkcję na naturalnych składnikach, na podstawie starych, poniemieckich jeszcze receptur. To nie była produkcja maszynowa ... Piec był ceramiczny, ogrzewany rurkami Perkinsa, gdzie „odpiek” pieczywa odbywał się na kamiennym, ceramicznym tle pieca. Takie pieczywo zupełnie inaczej smakuje niż to pieczywo z pieców, gdzie się wysuwa blachę, wkłada chleb i na tym ten chleb się „odpieka”. Przede wszystkim te receptury, ta rzemieślnicza produkcja - myślę, że to przyciągało wówczas klientów. Trzeba przyznać, że nie było też takiej dużej konkurencji, jak jest teraz. Teraz chleb jest przywożony do Recza z wielu miejsc, nawet z okolic Piły, a wówczas ta nasza piekarnia działała tylko na rynek lokalny i doskonale sobie dawała radę.

Więcej też było mieszkańców w samym mieście - wtedy przecież około 3000.

Tak, teraz jest mniejsza populacja. Poza tym było więcej zakładów pracy. W okolicznych wioskach były PGR-y, ludzie mieli pieniądze i stać ich było na to, żeby kupić taki gotowy produkt. W domu nie robiło się kanapek, dziecko dostawało te 5 zł i przychodziło do nas. Tak to się toczyło. A że wybierali naszą piekarnię ... Wydaje mi się, że było to spowodowane tym tradycyjnym wypiekiem, który prowadziliśmy. Dużo osób mnie czasem zaczepia i mówi, że do dzisiaj pamiętają ten smak naszych wypieków.

Proszę powiedzieć - tego rodzaju, oparta na tradycyjnych recepturach - wasza piekarnia była jedyną w okolicy?

W Reczu tak. To znaczy funkcjonowała tu jeszcze ta piekarnia GS - owska, nie pamiętam dokładnie, kiedy ona powstała, ale chyba na początku lat 70., ale tam była produkcja oparta bardziej na maszynach, chociaż więcej pracowników tam było zatrudnionych. W naszym zakładzie było zatrudnionych dwóch pracowników na noc i trzech na dzień - cukierników. U nas trzeba było cały czas zaglądać, sprawdzać, czy ciasto odpowiednio rośnie, czy odczyn ma odpowiednie PH, itd. Naprawdę trzeba było poświęcić bardzo dużo czasu. Był to niełatwy kawałek chleba - nomen omen.

Proszę powiedzieć, na czym polegała praca poszczególnych osób.

Nasz zakład prowadził piekarnictwo oraz cukiernictwo. Zatrudnialiśmy głównie piekarzy i ciastkarzy. Oprócz pracowników etatowych, których było pięciu, mój ojciec wyszkolił przez cały okres prowadzenia piekarni ponad 40-tu uczniów. Przygotował ich do zawodu piekarza i cukiernika. Ta młodzież w ramach praktyk szkolnych, ze szkół gastronomicznych i piekarniczych z Choszczna, miała 3 razy w tygodniu nauki w naszym zakładzie.

A jakie jest Pana najmiłsze wspomnienie związane z piekarnią i cukiernią, i ogólnie z zakładem Pana ojca?

Najmiłsze wspomnienie...? Moje najmiłsze wspomnienie to taki codzienny zapach tego świeżego pieczywa. Ponieważ my mieszkaliśmy na piętrze tej kamienicy, w której mieściła się piekarnia, zawsze rano budził mnie zapach tego świeżo wypieczonego chleba i bułek. I śmiało, jeszcze zaspany, nieuczesany, mogłem sobie w kapciach zejść na dół i zjeść ciepłą bułkę prosto z pieca i popić zimnym mlekiem. To takie miłe wspomnienia...

... taki zapachowy budzik...

Właśnie. Tak, tak ... To jest dosyć miły zapach, ponieważ nawet w marketach, zdarza się, żeby

zdobyć klienta, przy stoiskach z pieczywem sztuczny zapach się rozpyła, a u nas to była czysta natura.

Trochę zazdroścę, muszę przyznać. A jeśli chodzi o wypieki, były to słodkie bułki, pączki...?

Mój ojciec prowadził produkcję pieczywa zwykłego, pieczywa półcukierniczego i cukierniczego. Pieczywem zwykłym był chleb i bułki zwykłe ... duże, małe, chleby z resztą też różne. Pieczywem półcukiernicznym były pączki, drożdżówki, rogalce. Produktami cukiernicznymi były ciasta, torty - z czego ojciec był w okolicy znany. Z tego, co mi wspominał, takim istotnym wydarzeniem w jego karierze i dla niego osobiście było to, że robił duży, wielopiętrowy tort dla Przewodniczącego Rady Państwa Henryka Jabłońskiego, który przebywał w Choszcznie z okazji 750-lecia tego miasta. Mojemu ojcu zlecono wykonanie takiego tortu dla ówczesnej głowy państwa, więc było to nobilitujące. Ojciec opowiadał, że produkcja tego tortu odbywała się pod ścisłym nadzorem - przyjechała komisja, pobrała próbki z tego tortu („czy to, aby na pewno zjadliwe i nieszkodliwe“). Próbki pobrano, zbadano i dopiero wtedy ten tort został Przewodniczącemu zawieszony. Z ciast i tortów mój ojciec słyszał, to pamiętam...

Ponieważ mówimy o sukcesach, czy mógłby Pan wymienić także inne sukcesy zawodowe Pana ojca?

Tak. Mój ojciec nie tylko był doskonałym rzemieślnikiem w swoim zawodzie, ale też był zaangażowanym społecznikiem. Od 1976 roku był członkiem Cechu Rzemiosł Różnych w Choszcznie. Później, w latach 80., powołano go do zarządu tego Cechu, a przez ostatnie 9 lat swojego życia był Starszym Cechu, czyli kierował tą instytucją. Cech Rzemiosł Różnych to takie zrzeszenie wszystkich rzemieślników, którzy taką prywatną produkcję na terenie powiatu prowadzili. Wówczas, kiedy ojciec był Starszym Cechu, tych członków było aż trzystu. Z tego, co mi wiadomo, teraz to nie wiem, czy chociaż dwudziestu zostało... Cech funkcjonuje do dziś, natomiast jest coraz mniej członków, ponieważ ta własność prywatna, indywidualna powoli odchodzi do lamusa. Nie ma już prawie takich zawodów jak szewc, piekarz jeszcze jest, ale w ograniczonym zakresie - pieczywo coraz częściej piecze się w marketach z półproduktów mrożonych. Ale te tradycyjne zawody powoli wymierają. Natomiast takim największym osiągnięciem mojego ojca było właśnie to, że z szeregowego członka stał się kierującym całym cechem. Doceniła go również Gorzowska Izba Rzemieślnicza, która powołała go do zarządu wojewódzkiego. Za swoje zasługi dla rzemiosła polskiego został odznaczony złotym i srebrnym Medalem im. Jana Kilińskiego - jest to najwyższe polskie odznaczenie dla rzemiosła polskiego.

Mój ojciec jako społecznik - był przez dwie kadencje radnym Rady Miejskiej w Reczu. Może i byłby trzeci raz radnym, ale przed wyborami do rady zachorował i wiele czasu spędził w szpitalu. Wiem również, z tego co mi mówiono, że wszystkie swoje diety radnego przekazywał na budowę szkoły - dawnego gimnazjum. Budowa trwała dosyć długo, były zawirowania finansowe i wiem, że ojciec tak wspierał budowę tej szkoły. Również bardzo dużo swoich wyrobów przekazywał na różnego rodzaju akcje charytatywne. Praktycznie od początku WOŚP, zawsze w styczniu, przekazywał na licytację swoje torty i ciasta, które cieszyły się powodzeniem. W Choszcznie jest takie stowarzyszenie Kobieta 2000, na rzecz którego również przekazywał swoje wyroby piekarskie i ciastkar-

skie. W innych akcjach twórczo-kulturalnych na terenie Choszczna i Recza również brał udział. Na różne licytacje przekazywał to, co mógł, czyli swoją pracę potrafił za darmo innym, potrzebującym też oddać.

Czyli Pana ojciec był osobą, która angażowała się na rzecz innych mieszkańców...

Tak. Na rzecz miasta i rzemiosła również.

A kto, Pana zdaniem, był osobą związaną z piekarnią, o której warto powiedzieć, wspomnieć ją?

Oprócz ojca i dziadka, którzy tę piekarnię prowadzili?

Tak.

Tu się muszę posłużyć ściągą. Żeby nikogo nie pominąć. Bo tych osób było dosyć dużo. To jest zeszyt zatrudnionych pracowników - pokazuję i objaśniam - już takich zeszytów się nie robi. Na pewno trzeba tu wymienić moją mamę i babcię, które co prawda nie były właścicielami, ale aktywnie wspierały i ojca i dziadka w tej produkcji piekarskiej. Trzeba je wspomnieć, ponieważ one również pomagały i napędzały ten rodzinny biznes. A jeśli chodzi o pracowników, to mam tutaj taki zeszyt, który dokumentuje tych, którzy pracowali w naszej piekarni od roku 1976. Jest to rejestr pracowników, uczniów... Warto wymienić Pana Andrzeja Szymańskiego, który - de facto - od roku 1980 do chwili śmierci, współpracował z moim ojcem. Był piekarzem na nocną produkcję. Z piekarzy warto wspomnieć również Panią Ewę Wejman, która także pracowała na produkcji nocnej. Z tych wcześniejszych lat warto wspomnieć na pewno Pana Jerzego Kosiłę - również był piekarzem w naszej piekarni. Ci pracownicy na przestrzeni lat oczywiście się zmieniali, ale mogę wspomnieć tutaj również Panią Jadwigę Dutko, cukierniczkę Panią Nankoniczną Wiesławę, Panią Urszulę Więcek, Panią Barbarę Rzeźnicką, Jolantę Makowską; one były nieodrodnice związane z naszym zakładem pracy. Przez okres pracy mojego ojca przez zakład pracy przewinęło się około 10 stałych pracowników i około 40-tu uczniów, których ojciec przygotował do zawodu piekarza i cukiernika.

Niby taki mały zakład, ale osób, które się przewinęły, było całkiem sporo...

Trzeba wspomnieć, że ta produkcja była typowo rzemieślnicza. Zakład był mały i tak 3-4 osoby mogły być przy jednoczesnej produkcji. Nie to, co piekarnie GS - owskie, gdzie są zdecydowanie większe pomieszczenia i produkcja jest na bardziej masową skalę. Natomiast u nas każdy pracownik każdą bułkę musiał własnymi rękami „zwerkować” i ukształtować ręką.

Zwerkować?...

Czyli uformować. Werkowało się bochenki...

Czyli każdy klient miał inny chleb.

No tak. Każdy był wyjątkowy, bo nie były toczka w toczkę identyczne.

Proszę powiedzieć, jakie trudności napotykał Pana ojciec, prowadząc piekarnię.

Trudności związane z pracą? Na pewno taką trudnością było to, że powstały supermarkety, w których zaczęły się tworzyć stoiska piekarnicze. No i... człowiek jest wygodny, chce przyjść i kupić od razu świeże, ciepłe pieczywo... Ta piekarnia miała to do tego, że produkcja odbywała się godzinowo i trwała dość długo. Nie stać nas było, żeby np. co 3 godziny wypiekać nowy chleb. Kończyliśmy produkcję piekarniczą i przechodziliśmy na cukiernictwo. Nie było już możliwości rozpalania pieca, by wypiec kolejne chleby czy bułki. Natomiast to dobrze wykorzystały supermarkety, które wprowadziły godzinny odpiek pieczywa i klienci zaczęli z tego korzystać. My nie dysponowaliśmy takim piecem do odpieku na miejscu. Te, którymi dysponowaliśmy, są piecami ponemieckimi, wysokoenergetycznymi, które rozpalało

się przez kilka godzin, żeby osiągnąć odpowiednią temperaturę.

Inną trudnością było to, że większość piekarni z innych miejscowości zaczęło przywozić swoje produkty do Recza i tu sprzedawać. My byliśmy małą piekarnią. Nie mieliśmy zaplecza logistycznego do rozwoju tego pieczywa, produkowaliśmy tylko na rynek reczowski. To nam wystarczało. Nie mieliśmy środków transportu do rozwoju, no i zatrudnionych kierowców. Inne, większe piekarnie, które weszły w tę niszę pod koniec lat 90., na tym wygrały, ponieważ rozszerzyły swój rynek i mogły swoje produkty wywozić nawet ponad 80 km od swojej piekarni i sprzedawać. Można powiedzieć, że trudnością naszej piekarni było to, że była mała i nie miała szans konkurować z większymi piekarniami. Naszej piekarni, ze względu na usytuowanie w kamienicy - budynku mieszkalnym - nie można było rozbudować. Dlatego też czasy tej piekarni się skończyły na chwilę obecną. Dzisiaj, żeby utrzymać się na rynku piekarniczym, trzeba mieć bardzo duży zakład piekarski, dużo zatrudnionych pracowników, rozbudowaną logistykę - kilka samochodów, kierowców. Żadna piekarnia nie jest w stanie utrzymać się z lokalnego rynku.

A jakie ma Pan oczekiwania związane z zawodem, który wykonywali Pana przodkowie?

Oczekiwać to już nie mam chyba żadnych. Natomiast marzenie mam takie, żeby może udało się ducha tknąć w tę piekarnię. Dlaczego? Ponieważ ten sprzęt tam nadal stoi. Stoi, kurczy się... Od dwudziestu lat jest nieużywany, ale czeka na odpowiednią chwilę, żeby takie małe piekarnie zaczęły funkcjonować. Powoli może edukacja społeczeństwa zmierza w tym kierunku, że nie tylko liczy się świeże i ciepłe pieczywo, ale jakość tego produktu. Ciepłe i świeże jest z produktu głęboko mrożonego, a potem na daną godzinę tylko odgrzewanego. Natomiast nasze pieczywo było zupełnie innej jakości. Możliwe, że jeszcze przyjdą czasy dla takich małych piekarni. Oby przyszły, natomiast ... no poczekamy na rozwój wypadków. W każdym razie piekarnia jest w pełni wyposażona, sprzęty, myślę, że działają, serce piekarni, czyli hala produkcyjna jest i ... czeka na odważnego, żeby tę piekarnię otworzyć.

Z chwilą śmierci mojego ojca zakład przestał właściwie funkcjonować, ja już zająłem się czym innym, nie przejąłem pałeczki po moim ojcu. Co prawda ukończyłem szkołę piekarską, zdobyłem mistrza w zawodzie cukiernika, skończyłem studia na Akademii Rolniczej jako Technolog Żywności i Żywnienia Człowieka i studia podyplomowe w zarządzaniu jakością w produkcji żywności. Także doskonale mógłbym ten fach objąć. Natomiast zająłem się - też żywnością, gdyż jestem inspektorem w miejscowym sanepidzie i sprawuję nadzór nad bezpieczeństwem produkowanej żywności - ale nie poszedłem w cukiernictwo....



A myślał Pan, żeby ten biznes przejąć?

Były takie plany, natomiast, że tak powiem, rodzina chciała trochę odpocząć od tej ciężkiej pracy. Wybrałem trochę lżejszą pracę, bo pracuję 8 godzin dziennie, a nie 16 jak mój ojciec. Nie mniej jednak fach w rękach mam. A piekarnia czeka na ewentualnie lepsze czasy. Jeśli nie ja, to może mój syn pójdzie w ślady rodziny. Zobaczymy, jak to się ułoży.

Moi rodzice opowiadali o doskonałych eklerach od Flejtra. A co było Pana ulubionym wypiekiem?

Moim ulubionym wypiekiem były pączki i napoleonki z kremem budyniowym. Coś podobnego do eklerów, ale bardziej na kruchym, francuskim cieście, obsypane cukrem pudrem. Były też, pamiętam, dobre grzybki w formie parzonego ciasta z kremem i kształtem przypominające grzyba właśnie.

Coś takiego, to rzeczywiście trzeba było potrafić zrobić...

Tak. Tu zaznaczę, że u nas prowadziliśmy produkcję rzemieślniczą, ręczną. Teraz wszystkie ozdoby wykonywane są maszynowo. Natomiast w naszym zakładzie te wszystkie kwiatki, różyczki, pary młode mój ojciec robił ręcznie! Każdej takiej figurce trzeba było ileś godzin pracy poświęcić, dodatkowej pracy. Zmieniły się czasy na taki domowy biznes, bo nasza piekarnia miała właśnie taki charakter.

A czy brakuje Panu tego smaku naturalnego, świeżego pieczywa i czy można w domu zrobić takie pieczywo, czy da się?

Da się zrobić w domu każde pieczywo, ale nie tak dobre jak robił to mój ojciec i mój dziadek.

Dziękujemy za rozmowę.



O pracy w Gminnej Spółdzielni rozmowa z Panem Mieczysławem Kusiem

Proszę powiedzieć, kiedy przybył pan do Recza i jak daleko sięgają Pana wspomnienia związane z tym miastem.

Przyjechałem do Recza w 1958 roku. Przyjechaliśmy z Gorzowa. I tu rozpocząłem pracę w Gminnej Spółdzielni jako kierownik handlowy. Nie wiem, czy znacie strukturę organizacyjną spółdzielczości, że ona się składa z zarządu. Gminna Spółdzielnia w Reczu miała 3 członków zarządu: prezes, wiceprezes ds. handlu i wiceprezes ds. skupu. Rozpocząłem pracę jako kierownik handlowy. Ponieważ na prezesów czy wiceprezesów zatwierdza walne zebranie członków danej spółdzielni, stanąłem przed walnym zebraniem i ono oceniło mnie jako kierownika działu handlowego, czy ja się nadaję do tej pracy. Widocznie się nadałem skoro zostałem wiceprezesem ds. handlu i produkcji. Tak wyglądała ta sprawa. Wcześniej pracowałem w Gorzowie w PSS-ach, też to była działalność spółdzielcza. Nie wiem, czy wiecie, ale spółdzielczość rozpoczęła się za Stanisław Staszica. Chyba, jak dobrze pamiętam, chodziło o to, aby ratować się w potrzebie. Takie hasło przyświecało za czasów Staszica. Ale to historia.

Tak. Mówi Pan o okresie przedrozbiorowym.

Tak, tak.

Proszę powiedzieć, jakie sukcesy zawodowe mógłby Pan wymienić?

Ważne w działalności handlowej było uzyskanie zysku. Gminna Spółdzielnia po raz pierwszy osiągnęła zysk w wysokości milion złotych. To był dla mnie taki bodziec do dalszej pracy. Aby inwestować, trzeba było mieć trochę pieniędzy własnych, a nie brać kredyty. Bo jak się brało kredyty, to wiadomo, jakie mogą być skutki. Zatem zyski były bardzo ważne. Wówczas inwestowało się w takie pawilony. Na przykład taki budynek, jaki jest przed pocztą, był takim jednym z pawilonów handlowych. Był tam umieszczony sklep masarniczy. Inne były na przykład w Pomieniu, w Lubieniowie, w Sicku, jak dobrze pamiętam. Staraliśmy się, aby w każdej wiosce był sklep.

Pracował Pan w Gminnej Spółdzielni, która dziś już nie istnieje. Proszę opowiedzieć, jak wyglądało to miejsce i na czym polegała ta praca?

To tak... miało się 3 członków zarządu. Jako prezes robiłem posiedzenia zarządu. Omawialiśmy kwestie zaopatrzenia, skupu i usług. Najistotniejsze było sprowadzanie towarów. Sklepy branżowe to były: spożywczy, księgarnia i zabawkarski, alkoholowy, żeby nie pominąć, warzywny, no i ten masarniczy. To te, które były w Reczu. Poza tym była gospoda, która normalnie wydawała obiady i prowadziła handel bufetowy. Bufetowa zajmowała się sprzedażą alkoholi, piwa, zakąsek, a na dole w pomieszczeniach była produkcja kuchenna.

A gdzie to się mieściło?

To się mieściło tam, gdzie teraz jest opieka.

Ta gospoda nazywała się Basztowa, prawda?

Tak. Basztowa. Była dość popularna wśród mieszkańców i przyjezdnych. Na przykład kolega tam zawsze chodził i zamawiał wątróbkę, placki ziemniaczane ze śmietaną. Pochodził z Wileńszczyzny i upodobał sobie takie jedzenie, a tam mógł to dostać.

A gdzie mieściła się siedziba zarządu spółdzielni?

W tym budynku, gdzie dziś pani Piekarska ma sklep. Na piętrze. Tu się mieściły: księgowość, dział handlowy, dział skupu, wiceprezesi, tam był też mój gabinet.

Jakie wydarzenia i postaci najbardziej Pan zapamiętał w swojej pracy?

Jakie wydarzenia? To trudne pytanie ...

Może jakieś przełomowe, może związane z historią miasta, które miały jakiś wpływ na spółdzielnię?

Wydarzeniem było otrzymywanie pewnych środków komunikacyjnych, ponieważ spółdzielnia nie posiadała mechanicznego transportu. Korzystała tylko z trzech koni, które rozwoziły materiały do poszczególnych sklepów. Kiedy dostaliśmy samochód, to była wielka ulga, bo praca była szybsza. Wszystko szybko się rozwoziło i szybko załatwiało. Tym samym wzrosły obroty i było znacznie wygodniej, aniżeli wcześniej, gdy wszystko rozwoziło się końmi. Różnie to bywało z tymi woźnicami, bo jak pojechał, to czasami zasnął po drodze ... tak się zdarzało.

A jak wyglądał typowy dzień w Pana pracy? Czym się Pan tak szczegółowo zajmował?

Po pierwsze to korespondencja, która przychodziła do spółdzielni, notatki, planowanie pracy, spotkania. Na przykład jeśli chodzi o kontraktację zbóż. Trzeba było mieścić się w planie. Wszystko, co się robiło, było kontraktowane. Trzeba było dotrzeć do rolnika, prosić o to, aby wyraził zgodę na kontraktację. Podpisywało się umowę. Skupowaliśmy rocznie od 800 do 1200 ton zbóż. Magazyny mieściły się tam, gdzie Pan Okonek ma rozlewnię. Była tam też rozlewnia piwa i wytwórnia wód gazowanych na dole ...

Ona też podlegała pod spółdzielnię?

Tak. Jedyna, co nie podlegała, to mleczarnia, która skupowała mleko oddzielnie. Ciekawostką jest to, że dzisiaj mleko się kupuje w butelkach, a wtedy mleko przywoziło się w takich dużych kanach. Nabierało się i rozlewało się. Trzeba było mieć swoją kankę. Z nadwyżki mleka robiło się zsiadłe albo oddawaliśmy do piekarni i to mleko przeznaczano do produkcji bułek.

A były jakieś ustalone godziny pracy?

Były ustalone: od 8.00 sklepy. Tak dostosowano pracę w sklepach, zwłaszcza w PGR-ach, żeby odpowiadało to ludziom w danej miejscowości. Na przykład od 8.00 do 15.00, ale też z przerwą, aby ludzie po powrocie z pracy mogli dokonać sobie zakupów.

A czy napotkał Pan w związku ze swoją pracą jakieś trudności?

Tak, tak. Trudności były w pozyskiwaniu towarów takich, których ludzie oczekiwali. Na przykład ciężko było dostać wyroby czekoladowe. Pamiętam jak dzisiaj, zamawialiśmy galanterię czekoladową, tak to się nazywało. Ale jak tego nie było, to otrzymywaliśmy w puszkach landrynki ... Człowieka trafiąto ... Nie było

pełnego asortymentu. Tak samo nie było wielu artykułów spożywczych. Tworzyły się kolejki. Wiadomo było, że we wtorki i w piątki w masarni robiło się produkty mięsne i dzieliło się na poszczególne sklepy po 5 kg, po 2 kg. Nie było tak jak dzisiaj, że wszystko można dostać. Był przydział. To był największy problem. Ludzie chcieli, a nie było...

A skąd były sprowadzane te wszystkie produkty?

Gminna Spółdzielnia prowadziła skup żywca - żywej zwierzyny. Po-



przez centralę mięsną, bo taka była, zostawiano nam zgodnie z przydziałem z powiatowego urzędu dane ilości mięsa. Myśmy skupowali jako GS, ale centrala przydziałała nam na przykład 2 krowy, 5 tuczników i to był nasz przydział, z tego musieliśmy przygotować wyroby dla mieszkańców. Dwa razy w tygodniu rzeźnicy robili te produkty; kiełbasy, kaszanke, wątrobiankę, schab ... Wszystko przywoziło się do naszego sklepu w Re-czu, natomiast wyroby takie jak wędliny dostawały sklepy na wioskach - po 10 czy 15 kg. Sklepowe miały ciężki żywot, bo ludzie się domagali, a nie było towaru w wystarczającej ilości.

Pierwsze pretensje były zawsze do nich, prawda?

No do nich i jak było walne zebranie wszystkich członków spółdzielni, a było wtedy około 1000 osób ...

... **tak dużo?**

Tak. Musieli oni wpłacić tzw. udziałowe. Wybierało się spośród delegatów. No i na tym zebraniu dawali zarządowi popalić, jak to się mówi. Że tego nie ma, tego nie ma ... i trzeba było się wytłumaczyć, trzeba było powiedzieć, jakie to są obroty. A chcę wam powiedzieć, że płace sklepowych składały się z dwóch elementów: płacy zasadniczej i tzw. prowizji od utargu. Co to ta prowizja od utargu? No, żeby zachęcić sklepową do większego sprowadzania towarów i do większego sprzedawania tych wyrobów. Podstawowa pensja to tak w granicach ok. 800 zł. To, co sobie utargowały, to była ich dodatkowa pensja.

Proszę powiedzieć, jakie jest najmiłsze wspomnienie związane z tą pracą.

Ja wiem? Nie umiem tego powiedzieć ... Dzisiaj nie przywiązuje się do tego wagi ...

A może najzabawniejsza historia?

Chyba nie było takiej historii, żeby o niej mówić. Może organizowane dla pracowników wyjazdy i spotkania. Wyjeżdżaliśmy na wycieczki do Zakopanego, do Krakowa ... jakoś tam to życie poza pracą było organizowane. Organizowaliśmy dla dzieci pracowników kolonie. Dzieci wyjeżdżały również w góry i nad morze. Myśmy to w spółdzielni opłacali. To było dla członków spółdzielni. Muszę powiedzieć, że zaczęto obarczać spółdzielnię wieloma rzeczami, takimi jak na przykład szerzenie kultury bycia na wsi. Miałem obowiązek zakładać klubokawiarnie. Trzeba było zorganizować bufecik. Na przykład w Suliborzu było takie miejsce. W Reczu w miejscu, gdzie dziś jest posterunek, była sala konsumpcyjna. Z resztą to była sala posiedzeń, bo organizowano tam zebrania, zabawy. To, co sobie przypominam, to że organizowałem tam Dzień Kobiet. Większość pracowników to były kobiety. Było nas w zarządzie tylko kilku mężczyzn: księgowy, trzech prezesów, dwóch inwentaryzatorów, więc kazałem, żeby sobie każdy białą fartuch wypożyczył z piekarni i my obsługiwalimy te panie. Podawaliśmy kawę, jedzenie. Zamawiałem torty, a to nie było takie łatwe, żeby dla każdej pani coś słodsze było. Takie były imprezy...

... **no to miło ...**

Aha, przypomniałem sobie. Obowiązkiem moim było zamawianie prasy, która była rozdzielana na poszczególne sklepy. I rolnicy oraz pozostali mogli sobie korzystać z wiedzy fachowej, jaką w tym czasie się reklamowało. Zatrudniliśmy też takiego człowieka - organizatora rolnictwa, który jeździł do poszczególnych rolników, omawiał zagadnienie nowych upraw. Także zaczęto w jakiś sposób poszerzać wiedzę na wsi. Poza tym, jak dostaliśmy już traktory, to świadczyliśmy usługi w zakresie orki i innych prac polowych. A wszystkie materiały związane ze skupem, to wagonami wysyłało się ziemniaki i inne produkty pochodzące od rolników. Wszystkie towary rolnicze rozładowywało się ręcznie, nawet nawozy fosforowe i azotowe! To wszystko było luzem. Wielkim wydarzeniem było to, jak zdobyliśmy tzw. cyklop z traktorem, które wyładowywało z wagonów produkty o wiele szybciej, bez ręcznej pracy właściwie. Już ludzie się mniej kurzyli w tych nawozach.

Czy ma Pan jakieś marzenia lub oczekiwania związane z Pana pracą w Gminnej Spółdzielni?

Co tu powiedzieć. Już o pracy w moim wieku się nie mówi ...

A może powie Pan o swoich wrażeniach związanych z upadkiem spółdzielni. Bo nie ma się co oszukiwać, to już tak nie funkcjonuje ...

Tak ... Chciałem powiedzieć, że wielka rozbudowa GS-u, w tym wypadku niektórych zakładów, jak na przykład restauracji, nie zdawała egzaminu. Wywaliło się kupę pieniędzy, a ona tętniła życiem tylko na Boże Narodzenie lub Sylwestra. Natomiast nie było tu klientów. Ta gospoda, o której mówiłem, to prędzej zdawała egzamin ... Niektóre rzeczy tak z rozmachem starano się zrobić. Tylko ten sklep Pana Nykla, dzisiejsza Stokrotka, zebrał, że tak powiem te wszystkie sklepiki ... Tak to wyglądało.

A proszę powiedzieć jakie postaci, osoby warto byłoby zapamiętać ...?

... może powiem tak. Takim człowiekiem, o którym warto wiedzieć jest Pan Wilczewski. Był wiceprezesem. Znany był jako spokojny człowiek, był szanowany. Urosła nawet legenda, że był dowódcą

AK na Wileńszczyźnie, ale jak ta historia w szczegółach wygląda, to nie wiem. Był lubianym człowiekiem, który chciał pracować dla dobra Recza.

Proszę powiedzieć, czy Pana praca sprawiała Panu radość?

Tak, tak, no bo która praca nie sprawiałaby radości, kiedy brało się za to pieniądze (śmiej). A i jeszcze jedno. Nie wiem, czy wiecie, że jedna z nauczycielek Pani Janina Pawłowska prowadziła w szkole sklepik pod patronatem GS-u. Skupowała na przykład makulaturę i przywoziła do nas, bo my też skupowaliśmy makulaturę. Dla tej spółdzielni robiliśmy ulgi materiałowe i cenowe. Pani Pawłowska zaszczerpiła spółdzielczość w szkole.

Powiedział Pan, że rozpoczął pracę w 1958 roku, a do kiedy Pan pracował w spółdzielni?

Do 1972 roku.

A z tego, co udało nam się dowiedzieć, to Pan pracował też w szkole, prawda?

Tak, jako kierownik Zespołu Administracyjnego Szkół. No i ja zajmowałem się budową szkoły. Można powiedzieć, że wszystkie cegły to przez moje ręce przeszły. O godzinie 3. w nocy wstawałem, dostawałem jeden lub dwa samochody z przyczepą, pamiętam, że był to ZIT,



jeździłem po tę cegłę do Gozdnicy - to był przydział. Tam głównymi odbiorcami tej cegły byli Rosjanie, którą zabierali do budowy na poligonie w Bornym Sulinowie. Jakoś udało mi się załatwić, że dostałem pewnego razu nawet 5 wagonów cegły. Trzeba było tu rozładować ... Ja się zajmowałem właśnie tą szkołą. Oczywiście nie od razu. Najpierw zajmował się tym pan Okonowicz ...

... a w jakich to było latach?

... no nie przypominę sobie teraz, ale dawno to było. Powiem też, czym się kierowałem, budując szkołę. Widziałem, jakie mają trudności dyrektorzy szkół z ich odnawianiem. Powiedziałem sobie wtedy: „zrobić raz, a dobrze”. Jeździłem nawet do ministerstwa w sprawie tej szkoły! Do Stelmachowskiego, wtedy ministra edukacji narodowej. Pamiętam jak dzisiaj, on był przeciwny budowie szkoły, żeby pieniądze dać. Mówił, że w pierwszej kolejności trzeba dać pieniądze na budowę szkół na wschodzie. Ja byłem innego zdania. Ale dał te pieniądze, chyba to było wtedy 400 000 zł. Pieniądze nie mogły przyjść od razu na społeczny komitet budowy szkoły, tylko do Urzędu Wojewódzkiego, ten przekazał to gminie, a one tam utknęły. Kombinowało się i jakoś ta szkoła powstała. A no były różne historie ... Szkoła stoi, GS-u nie ma ...

A według Pana oceny, ta spółdzielnia się dobrze rozwijała w porównaniu z innymi?

No tak, rozwijała się. Jak uzyskaliśmy milion zysku, to mogliśmy sobie pozwolić na inwestycje. Inwestowano w zakup samochodów, sprzętu, trochę wyposażenia ... No i ta restauracja „zjadła” wszystko. Ale teraz byłaby potrzebna, bo brakuje w Reczu takiego miejsca. Może nie tak duża, ale jakiś lokal by się przydał.

Dziękujemy za rozmowę.

O początkach i rozwoju Fabryki oraz pracy w Gminnej

Spółdzielni rozmowa z Mieczysławem Sakowiczem

Kiedy przybył Pan do Recza i jak daleko sięgają Pana wspomnienia związane z miastem?

Muszę tutaj przedstawić trochę swojej historii. Urodziłem się na Wołyniu, koło Kowla. Jest to miejscowość leżąca dzisiaj około 80 km od naszej granicy. Tam mieszkali moi rodzice - w miejscowości, która nazywała się Janówka. Rodowo jestem związany z Litwą. Mój pradziadek przyjechał w okolice Suwałk. Tam urodził się mój dziadek, w 1864 r., mając 20 lat, wyjechał do Ameryki. Tam się dorobił, ciężko pracując. Powrócił na Suwalszczyznę i od władz rosyjskich wykupił ziemię na Wołyniu. Dzieciństwo miałem tragiczne. Urodziłem się w 1939 roku. Gdy miałem 5 miesięcy mój ojciec poszedł na wojnę, potem dostał się do niewoli i do końca wojny nie wiedzieliśmy, co się z nim stało. Moi rodzice mieli dość duże gospodarstwo - 12 ha ziemi. Na tej gospodarce została moja mama, ja i moja siedmioletnia siostra. Na początku wydawało się, że jest spokojnie, ale w latach 1942-1943 zrobiło się bardzo groźnie. Powstała tam Ukraińska Armia Wyzwoleńcza (UPA), która wzięła sobie za cel wymordowanie wszystkich Polaków. Także moje dzieciństwo, które przypadło na lata wojny, było bardzo ciężkie. Częściej przebywałem na ucieczkach przed napadami. Tragizm niesamowity. Jak się wojna skończyła, trzeba było podpisać zgodę na obywatelstwo rosyjskie albo uciekać do Polski. Moja mama tego nie podpisała i w lutym 1945 roku przyjechaliśmy w okolice Chełma. Przekroczyliśmy Bug, granicę i byliśmy już w Polsce. Mama otrzymała koło Chełma gospodarkę (ok. 7 ha) i tam się osiedliliśmy. Ojciec - po zakończeniu wojny - nic o nas nie wiedział (od kolegów wiedział, że jego wioska została wymordowana). Myślał, że nie żyjemy. Osiedlił się tu w Sicku - dokładnie w październiku 1945 roku. W PUR-ze (Państwowy Urząd Repatriacji) otrzymał przydział ziemi właśnie koło Recza. Odnaleźliśmy się dopiero w 1947 roku. Dwa lata mama pisała listy do Czerwonego Krzyża i do innych instytucji, bo chciała się dowiedzieć, czy tata żyje. Przez długi czas nie było żadnej wiadomości o ojcu. Ojciec spotkał na tych terenach swoją rodzinę - w Dobrzanach. W 1946 roku został sołtysem Sicka - jego zadaniem było osiedlanie wszystkich repatriantów. Bo jak wiadomo, tereny zachodnie zostały odzyskane i cała ludność ze wschodu była tutaj przesiedlana. Jakoś tata dowiedział się, że prawdopodobnie przeżyliśmy wojnę i w 1947 roku trafiliśmy razem z mamą na te tereny do Sicka. Zobaczyłem ojca, jak miałem 8 lat. Jak tu przyjechaliśmy, to pierwszym wrażeniem było to, że wszystko pokrywały gruzy. Wygląd wszystkich miejscowości naszej gminy był tragiczny - same szkielety domów, mało gdzie dom był cały. Trzeba było cały czas coś remontować, odbudowywać. Dowiedziałem się wtedy, że Recz w czasie wojny trzy razy przechodził z rąk do rąk. Była tu bitwa czołgów (w Stargardzie stacjonował korpus SS, a na Inie Niemcy mieli potężne

umocnienia), wszystko było bombardowane. Było bardzo dużo pocisków na polach. Jak przyjechaliśmy, to jeszcze wtedy stały całe karabiny maszynowe na polu, w budynkach. Wojsko to wszystko zbierało, ale można było jeszcze odnaleźć nawet pełne skrzynki amunicji. Jako dzieci bawiliśmy się trochę w saperów (śmiech). To, że jeszcze żyję ... to cud... Było bardzo niebezpiecznie...

W 1946 roku zacząłem naukę w szkole w Siedlisku koło Hrubieszowa - tam zaliczyłem 1. klasę. Ale jak przyjechaliśmy do Sicka, to okazało się, że tutaj szkoły nie ma. Przez prawie rok nie chodziłem do szkoły (była tylko w Reczu). Do szkoły w Reczu zacząłem chodzić w 1948 roku, do drugiej klasy. Do szkoły z Sicka chodziło się pieszo, nie było wtedy autobusów czy jakiejś bonanzy. To było jakieś 3,5 - 4 km przez pola. Później przyjechała nauczycielka do Sicka i w takim budynku zrobiono szkołę, do której zacząłem



chodzić - było tam sześć klas, do siódmej chodziłem znowu do Recza. Z tym miastem jestem związany od wczesnych lat szkolnych.

Tutaj poznawałem swoich kolegów, miejsca, przyrodę. Poznałem dobrze teren całej gminy. Jak ojciec pełnił funkcję sołtysa, to ja byłem takim jego gościem, pośrednikiem. Jeździłem do Sokolińca, do Wapnicy, do Recza...

Pamiętam, że najpierw jeździłem hulajnogą znaną gdzieś w gruzach. Okres powojenny był bardzo ciężki. Musieliśmy wszystko

odgruzowywać, a jak w 1948 roku zaczęto odbudowywać Warszawę, to trzeba było czyścić cegły. Można właściwie powiedzieć, że od piątego - szóstego roku życia byłem samodzielny, a przyczyniła się do tego wojna i czasy powojenne.

A Pana rodzeństwo...

Miałem tylko siostrę. Jak osiedliliśmy się w Sicku, to wtedy mama urodziła jeszcze dwójkę. Jak skończyłem szkołę, to byłem już bardzo związany z tym miastem i znałem prawie całą gminę. Miałem dalej chodzić do technikum budowy statków. Mój nauczyciel powiedział jednak, że bym najpierw nauczył się zawodu. I poszedłem do szkoły zawodowej do Stargardu. Tam była szkoła spawalnicza, którą skończyłem. Stwierdziłem, że to trochę za mało. Pojechałem uczyć się do Wrocławia do Technikum Budowy Silników Samolotowych. Tam zdałem egzamin wstępny, zostałem przyjęty. Ale wracałem 21. czy 22. czerwca 1956 roku do domu przez Poznań, a tam zaczęły się rozróbny - zaczął się Poznań'56. Przez to miasto nie dało się przejechać. Dopiero, namawiając maszynistę, dostałem się pociągiem towarowym do Krzyża i stamtąd do domu. Mama jak się dowiedziała, to była tak przestraszona, że nie puściła mnie już do Wrocławia (trzeba pamiętać, że po wojnie rodzice byli bardzo przewrażliwieni). Potem było wojsko, a po powrocie z wojska od razu poszedłem do pracy do fabryki (REMOR - przyp.). Dokładnie w 1960 roku.

Czy mógłby Pan opowiedzieć o tym, jak wyglądała praca w Remorze?

Właśnie! Miałem ukończoną szkołę spawalniczą - spawanie gazowe i elektryczne. Muszę powiedzieć, że szkoła zawodowa, którą kończyłem, to była prawdziwa szkoła zawodowa! Tam robiło się wszystko... metalurgia, rysunek techniczny. W ogóle profesorowie byli wspaniali. Byłem do zawodu bardzo dobrze przygotowany. Może i bym z ojcem prowadził gospodarkę w Sicku, ale zaczęto tworzyć spółdzielnię. Ojciec namówił mnie, żebym poszedł do fabryki, bo tam potrzebują fachowców. Fabryka powstała, ale brakowało kadry. Potrzeba było specjalistów. Zostałem od razu przyjęty. Jeżeli chodzi o fabrykę, to najpierw był to mały zakład - kartoniarnia. Ludzie - około 60 osób - robili kartony, segregatory, teczki ... Tak się zaczęło. Tak! Początek Remoru to była kartoniarnia. Produkowano tam takie papierowe produkty do 1952 roku. Zakład się rozrastał i wtedy pracowało tam nawet 80 osób. Z resztą muszę powiedzieć, że na terenie Recza było sporo większych i mniejszych zakładów pracy. Zatrudnienie było dość duże. Nie wiem, prawdopodobnie z powodu braku towaru, ta kartoniarnia stanęła. Nie wiadomo było, co z ludźmi zrobić. Jakimś cudem, nie wiem, kto tam był mądry, ale przejął to przemysł okrętowy. W tym budynku, gdzie dziś jest Biedronka, była kartoniarnia. Ten obiekt był pierwszym budynkiem Remoru. Zaczęto zwozić maszyny i rozpoczęto produkcję dla przemysłu okrętowego. Tak się zaczęła praca Remoru. Właściwie w 1956 roku, jak przyszedł do Remoru, ze stoczni w Gdańsku, dyrektor Komada, to wtedy fabryka zaczęła się konkretnie rozwijać. Zaczęto kooperować ze wszystkimi stoczniami, stocznie zaczęły składać zamówienia na drabiny, produkty metalowe, potem wprowadzono galanterię okrętową. Produkowaliśmy całe wyposażenie: armaturę, rurociągi, przejścia, włazy - duże gabarytowo. Było to produkowane w warunkach bardzo ciężkich. Obiekt był przecież mały. Do produkcji drabin (3-, 4-, 6 - metrowych) wybudowano specjalną wiatę. Można powiedzieć, że ludzie pracowali na dworze, pod gołym niebem - czy lato czy zima. Na hali postawiono tokarki, w drugim miejscu były prasy. Nie było żadnego ogrzewania... Jak ja się przyjąłem do fabryki, to najpierw poszedłem na produkcję jako spawacz. Spawałem schody, koje, łóżka, ramy - całe wyposażenie okrętowe. Przez dwa lata takiej pracy związałem się silnie z pozostałymi pracownikami. Później okazało się, że brakowało kadry w administracji. Ponieważ uważam, że byłem pilnym i pracowitym człowiekiem, to dyrektor Komada zabrał mnie z produkcji i dał mi obowiązki w administracji i pracy w technologii. Trzeba było opracowywać procesy technologiczne i do takiej pracy przeniósł mnie dyrektor. Wtedy też zacząłem jeździć do szkoły do Szczecina do Technikum Mechaniczno-Energetycznego na Racibora. Pracowałem i się uczyłem. Ukończyłem szkołę typowo specjalistyczną. Miałem wtedy opanowane spawalnictwo i obróbkę skrawania, a to w fabryce było głównym nurtem produkcji. Potem zaczęto produkować również produkty z mosiądzu, głównie galanterię okrętową: okucia, wyposażenia łazienek i mebli, zamki, zawiasy, itp. Wszystko do statków. Współpracowaliśmy z fabrykami w Trzciance i Czarnkowie, gdzie produkowano meble. Wszystko było produkowane, obrabiane, niklowane i chromowane. Na statkach potrzebne są

produkty odporne na korozję.

Czyli można powiedzieć, że ukończone przez Pana szkoły, nadały Panu taką pozycję jednego z głównych specjalistów w fabryce?

Ja prowadziłem całą technologię - wtedy już jako kierownik sekcji technologicznej - w oparciu o wiedzę i doświadczenie. W ogóle było nas trzech technologów. Po kilku latach dyrektor Komada przydzielił mi stanowisko kierownika wydziału P1 (metalurgiczny to był P2) - matali kolorowych. Wszystkie wyroby przed wprowadzeniem musiały przejść opracowanie procesu technologicznego, projektowanie, czas produkcji, bo od tego zależał też zarobek pracowników (pracowali bowiem na akord). Od nas, technologów, zależała praca i płaca wszystkich pracowników Remoru. Była to praca odpowiedzialna, czasem wdzięczna, a czasem niewdzięczna ... nie wszyscy pracownicy się z nami zgadzali... bywało różnie. Pracowaliśmy jednak bardzo odpowiedzialnie, wykorzystując np. chronometrarze... Na wydziale pracowałem 3 czy 4 lata. Praca przy galanterii też była ciężka, bo polegała na szlifowaniu, piłowaniu, wszystko w kurzu, przy ręcznej pracy. Pracowały tam głównie kobiety ... z resztą cały ten wydział był zdominowany liczbowo przez kobiety. Mężczyźni pracowali głównie na dziale mechanicznym.

A proszę powiedzieć, ile było wtedy pracowników. Na początku mówił Pan o tym, że w kartoniarni pracowało 60 osób, potem 80 ... A w momencie, kiedy fabryka szybko się rozwijała?

Tak. Jak Remor się rozwijał, to i ludzi przyjmowano do pracy coraz więcej. W latach 60. było już prawie 250 pracowników, a później to nawet ponad 500! Nieraz pracowało się na trzy zmiany. Najgorsze było to, że mimo coraz większej liczby pracowników, pracowaliśmy w tych starych budynkach. Wydział P1 mieścił się tam, gdzie był Sizel, na górze. Była tam szlifiernia, galwanizownia, ślusarnia. W latach 70. zaczęto budować nowe hale. I dopiero



wtedy polepszyły się warunki pracy. Przez 15-16 lat pracowało się w starych, ciężkich warunkach. Wtedy też zaczęto budować osiedle na ul. Słonecznej. Pierwsze bloki powstawały w latach 1973-1974. Wszystko właściwie jest zasługą dyrektora Komady, który był człowiekiem niezwykle operatywnym. Był wspaniałym człowiekiem i szefem. Bardzo go chwalę, bo można było się od niego dużo nauczyć. Był bardzo zaangażowany

i w Remor i w całe miasto. Remor, można powiedzieć, był żywicielem całej miejscowości. Chyba nie było rodziny, w której nie pracowałby ktoś właśnie w Remorze: małżeństwa, całe rodziny...

Trochę o swoim mężu opowiadała nam kiedyś Pani Komada...

Tak. Muszę też dodać, że Remor funkcjonował nie tylko jako Fabryka Sprzętu Okrętowego, ale też w przemyśle „terenowym”. Produkowaliśmy łyżki, widelce i inne produkty aluminiowe dla mieszkańców. Produkowaliśmy to w odlewni aluminiowej. O samej produkcji trzeba by było bardzo dużo opowiadać... Remor to była kuźnia kadr. Brakowało cały czas fachowców. Zacząłem wobec tego prowadzić kursy spawalnicze. Zrobiłem kurs pedagogiczny i dzięki temu mogłem przyuczać do zawodu młodych spawaczy. Dodam, że 11-12 kursów przeprowadziłem też dla choszczeńskiego POM-u. Teorię prowadziłem w dzień, a praktykę po nocach, bo w dzień przecież się pracowało. Wtedy w domu przebywałem bardzo rzadko.

Wiemy, że pracował Pan również w GS - ie. A do kiedy Pan pracował w Remorze?

Do 1979 roku. Zaczęło się od tego, o czym mówiłem, że fabryka była kuźnią kadr. Jeśli gdzieś potrzeba było specjalisty, to tylko w Remorze można było kogoś znaleźć, bo tam było najwięcej osób wykwalifikowanych. Jak to się stało, że przeszedłem z Remoru do GS-u? W spółdzielni pojawiły się pewne problemy, notowano straty i Gminna Spółdzielnia była przeznaczona do likwidacji. Władze gminne zastanawiały się, co zrobić, żeby utrzymać tę spółdzielnię. Wtedy Naczelnikiem był Ryszard Kławiś, a sekretarzem Ryszard Zwolak. Oni nie chcieli do tego dopuścić. Zaczęli rozmawiać z Prezesem Zarządu Spółdzielni z Gorzowa o tym, kogo powołać na stanowisko prezesa GS-u, który upada. Oczywiście również wtedy przyjechali do Remoru. Rozmawiali z Komadą, pytali, kogo powołać? Najpierw zaproponowano Pana Kempistego - wicedyrektora Remoru. Potem zaproponowano Pana Tadeusza Kalinowskiego, który był szefem produkcji. Ponieważ wtedy udzielałem się w życiu fabryki i przeszedłem do takiej nowatorskiej sekcji (chodziło o opracowywanie technologii umożliwiającej wykorzystanie odpadów poprodukcyjnych, a nie wyrzucanie ich na złom - pracowałem tam z Panem Ryszardem Huszczonkiem), to padło też moje nazwisko. Czy Sakowicz wyrazi zgodę? Zawołali mnie i przedstawili mi propozycję objęcia sterów w GS-ie. A ja wtedy o tej działalności nic nie wiedziałem! Mówiłem, że ja przecież kształciłem się w metalurgii, a spółdzielnia to w ogóle całkiem inna dziedzina - to jest handel i spółdzielczość. Komada wtedy powiedziała: „Chłopie, ja wiem, że sobie poradzisz”. Wcześniej Remor miał w planach rozbudowę fabryki w Ińsku - produkowano by tam prefabrykaty - i chciał mnie tam wysłać jako szefa. Pomyślałem i pytam: „A co mi za to dacie?”. Zaproponowali podwyżkę, a ponieważ byłem wtedy na dorobku; w 1964 roku wziąłem ślub, a tu ani mieszkania, ani nic. Pieniądz to rzecz takoma. Zgodziłem się. No i zaczęła się sprawa GS-u...

... my nie musimy zadawać pytań. Pan wyprzedza nasze pytania ...

No tak. W GS-ie była wtedy Pani Kazimiera Salkiewicz na stanowisku wiceprezesa ds. obrotu

rolnego, wcześniej drugim wiceprezesem był Pan Ryszard Zwolak, który przeszedł na stanowisko sekretarza w gminie. Stanowisko drugiego wiceprezesa było wtedy nieobsadzone. Nie było też prezesa, którego zwolniono. Rada nadzorcza wybrała mnie wtedy na prezesa GS-u. Wcześniej trochę zapoznałem się z pracą spółdzielni i ogólnie ze spółdzielczością. To było w maju 1979 roku. Muszę powiedzieć, że przed wyborem na



prezesa rada mnie trochę przeegzaminowała. Przewodniczącą rady była Pani Tokaj, która była szefową Banku Spółdzielczego w Reczu. „Co Pan wie o spółdzielczości?”. Umiąłem odpowiedzieć i zostałem tym prezesem. Pierwsza decyzja - nie mam wiceprezesa ds. handlu. Gdzie pójdę? Do Remoru! Ściągnąłem Janka Witka. Wiedziałem, że był on bardzo operatywny, bo pracował w fa-

brycie w zaopatrzeniu i wiedziałem, że z nim będzie mi się dobrze współpracowało. Zaczęliśmy pracę. Jak zobaczyłem, w jakim stanie jest spółdzielnia, to się przeraziłem. Muszę w tym miejscu trochę powiedzieć o historii GS-u. W latach powojennych funkcjonowały tylko pojedyncze punkty handlowe, prywatne. Często były one w domu. Ci handlarze sami jeździli po towar, nawet do Poznania. Władze komunistyczne nie tolerowały jednak takiej prywatnej działalności. Uważali, że był to załazek kapitalizmu. Po wojnie funkcjonowały np. dwie piekarnie: p. Kosia i p. Flejtra. Załazek GS-u zaczął się w 1947 roku. Wtedy położono nacisk na spółdzielczość, wspólnotę produkcyjną; prywatne sklepy zaczęto likwidować. Rozpoczęto organizowanie spółdzielni gminnej. Na przykład w Choszczynie powstał zakład handlu. W terenie, na wioskach, powstawały punkty GS - owskie. Przed objęciem przez mnie funkcji prezesa sklepy spółdzielcze były już właściwie wszędzie na wioskach, a ja budowałem jeszcze tylko w Nętkowie. Sklepy były w Suliborzu, w Sokolińcu, w Sicku, w Lubieniowie ... To wszystko podlegało pod GS, który był głównym zaopatrzeniowcem dla mieszkańców gminy. GS skupował wszystkie produkty rolne: wiśnie, śliwki, warzywa... Jak ja przyszedłem do GS-u, to handel i zaopatrzenie było już bardzo rozpowszechnione. Prywatna własność wtedy właściwie nie funkcjonowała. Jedyne, co zostało, to piekarnia Flejtra. On jedynie do końca prowadził sam swoją piekarnię. W 1953-/1954 została wybudowana piekarnia GS - owska. Pamiętam, że jak przejmowałem stery w spółdzielni, to straty wynosiły chyba ok. 800 000 złotych. Jak pojechałem na pierwszą swoją naradę do Gorzowa, to nasłuchałem się o spółdzielni w Reczu ... oj nasłuchałem. Ponieważ pracę traktowałem niezwykle odpowiedzialnie i angażowałem się mocno w to, co robię, to także w spółdzielnię zaangażowałem się tak samo. Wtedy tak się stało, że my zwiększyliśmy w ciągu trzech lat (masarnia, piekarnia, wytwórnia wód gazowanych i restauracja

„Basztowa“; tak na marginesie dodam, że restaurację „Hetmańską“ zastałem w stanie surowym - potem ją ukończyłem) produkcję ponad 3 i pół krotnie, na przykład obrót masarni w roku 1980 wynosił ok. 4000 zł, a trzy lata później dochodziło do 16000 zł. Jak wtedy pojechałem na naradę, a kontrole odbywały się bardzo często, to już nie mówiono źle o naszej spółdzielni. Muszę dodać, że najgorsze było to, jak zobaczyłem, w jakich warunkach pracują ludzie; serce się kroiło! Piekarnia nie miała ogrzewania, rozlewnia wód była w piwnicy; pracownicy pracowali w butach gumowych, fartuchach, w wodzie i w wilgoci, ani powietrza, ani wentylacji ... nic. W masarni ubój robiony był na powietrzu! Zimą też! Ludzie i zwierzęta stoją na deszczu, w zimnie na śniegu. Mówię: „Matko Boska! Jak ci ludzie pracują?“ Natychmiast, jeśli chodzi o masarnię, zrobiliśmy zadaszanie na całym podwórzu, zrobiliśmy specjalne podciągi. Do piekarni doprowadziliśmy centralne ogrzewanie z restauracji. Wytwórnię wód przeniostem do góry - z piwnicy na parter, kupiliśmy maszynę do mycia butelek; wcześniej butelki myte były ręcznie! Wyprowadziliśmy ten GS na normalność. Po trzech latach dostałem nagrodę jako prezes jednej z najlepszych gminnych spółdzielni w województwie. Po czterech latach otrzymałem Srebrny Krzyż Zasługi za działalność spółdzielczą! To było w 1985 roku. Wszystko to odpowiedzialność i zaangażowanie. Żyliśmy tym! Pamiętam, że nawet prywatnym samochodem woziłem wodę pracownikom, jak był upał. Co było jeszcze ważne. Rok 1980 to rok tragiczny dla całego kraju. Strajki w zakładach powodowały, że zaczęło brakować towaru. Najgorsze było rozdzielnictwo. Zakład handlu wydzielał, ile danego towaru na gminę. To zależało od ludności, a wtedy w gminie mieszkało ok. 6000 ludności, no to dawano np. dwie lodówki, trzy telewizory... Ta reglamentacja była najgorsza! To przyczyniało się do tego, że jako spółdzielnia nie mogliśmy się rozwinąć. Wprowadzono kartki, które tragicznie były rozliczane. Chyba z trzy razy byłem wzywany na komisję dyscyplinarną, ponieważ sklepowa sprzedała więcej mięsa niż było kartek. Kartki nie pasowały. W alkoholu nie pasowały kartki! Co cwańszy, ten kartki potrafił podrobić ... Tragiczne rzeczy się działy. Remor dawał nam talony na zupę i posiłki regeneracyjne. Pracownicy mieli się stołować w restauracji. Zamiast jedzenia kupowano jednak papierosy i wódkę! Też na kartki, które były wydawane tylko na konsumpcję. Kontrole nam zarzucały nieprawidłowości. Trzeba było się tłumaczyć, że jak klient nie chce zjeść, to go nie zmuszę... Ważne dla Recza było to, że wtedy też na naczelnika gminy, w 1980 roku, wzięto p. Kalinowskiego - też z Remoru. Znalіśmy się z pracy, więc łatwo nam było współpracować. Pomagał nam w czasie problemów. W 1981 roku wprowadzono w Polsce stan wojenny. Władzę w gminie przejął wtedy komisarz, który zaczął podejmować strategiczne decyzje - my byliśmy tylko zarządcami swoich jednostek. W Reczu komisarzem był płk Przybylski, który okazał się wspaniałym człowiekiem. Nie mieliśmy z nim większych problemów. Ja jako prezes spółdzielni nie odczuwałem jakiegoś nacisku politycznego. Nie! On nam jeszcze pomagał rozwiązywać nasze problemy! W ogóle lata 80. były okresem tragicznym w gospodarce, a my mieliśmy jednak zyski. Można było ciągle wypłacać

„trzynastki”. Chyba nikt nie narzekał na zarobki. Jako prezes nawiązałem dobre stosunki z dyrektorem Gryfa Szczecin, w Słupsku w fabryce obuwia miałem dobre układy, w Łobzie z dyrektorem handlu... Problem polegał jednak na tym, że był to okręg Szczecin, a my przynależeliśmy do Gorzowa. Pamiętam, że żeby wjechać do Szczecina zmienialiśmy nawet tablice rejestracyjne - baliśmy się, że poprzebijają nam opony za to, że przyjechaliśmy z innego okręgu po ich towar. Takie były wtedy czasy, że wszystko trzeba było załatwiać! Rozumiemy o co chodzi?! Całego Robura czekolad wtedy przywiozłem! Podobnie było z butami. Pojechałem do Słupska do fabryki Alka; produkowali tam piękne, eleganckie buty. Pełny Robur żeśmy przywieźli butów! Do mnie przyjeżdżali prezesi z Suchania, Dobrzana, Drawna z pytaniem: „Jak ci się udało to dostać?”. Bo muszę powiedzieć, że wtedy wszystko było reglamentowane, ale to, co pochodziło z zakładu handlowego, to, co załatwiliśmy sami, było nasze... Gdy czas stanu wojennego minął, to braki towaru i reglamentacja pojawiały się nadal. Kolejki, listy, skargi mieszkańców... Ludzie stali pod sklepem nawet trzy dni, żeby otrzymać tę pralkę, bo jak przyjedzie, to żeby być pierwszym. Meble - to samo.

Pracował Pan w GS - ie do roku ...?

Do 1990. W Sylwestra 1989 roku poszedłem na kontrolę do bazy, a tam była taka rampa z wagą ... uległem wypadkowi. Zanieśli mnie do ośrodka zdrowia i zaraz na pogotowie... Nowy Rok witalem w szpitalu. Potem musiałem przejść rehabilitację. Potem renta ... i w maju 1990 roku



odszedłem z GS-u. W GS - ie zostawiłem 800 000 zł zysku. Ale jeszcze powiem o problemach ... My nie mieliśmy sklepu spożywczego z prawdziwego zdarzenia. Zawsze mi w głowie tkwiło, co z tym fantem zrobić? W 1987 roku zacząłem budować sklep, gdzie dziś mieści się Stokrotka. Budowaliśmy to dwa lata. Mówiłem wtedy: „Będziemy mieli piękny sklep spożywczy, a u góry to zobaczymy...”. To jest taki budynek, że w piwnicach może być usytuowany schron! Fundamenty były budowane tak, aby zabezpieczyć ludzi w razie jakiegoś W. W 1987 czy 86 paliła się nam restauracja. Przyczyną pożaru był zapłon lodówki w kawiarni. Spaliło się całe wnętrze! Nawet sam gasiłem, bo byłem też w straży pożarnej... a właściwie to cały czas jestem - mija już 55 lat ... Nasza restauracja przynosiła już wtedy straty (były wcześniej też plany, aby wykorzystać restaurację jako dom handlowy), bo zakłady zaczęły się wycofywać ze współpracy i zaczęło nam brakować funduszy. Po trzech latach, chyba, nastąpiła upadłość spółdzielni. Przyjechał syndyk, zaczęło wszystko sprzedawać. Jak się zaczęła prywatna inicjatywa, to w naszym mieście zaczęło powstawać bardzo dużo sklepów prywatnych. Na każdej ulicy prawie był sklep. Nie wiem, co się zaczęło dziać... gdzie indziej tego w takim stopniu nie było. Pojawiła się duża konkurencja i GS zaczął padać. Nasze obiekty były dość duże i musieliśmy płacić

wysokie podatki. Zmniejszyła się opłacalność. Największym sukcesem, który udało mi się osiągnąć, była poprawa warunków pracy, wybudowanie sklepu spożywczego. Muszę jeszcze dodać, że jeśli chodzi o rolnictwo, to skup produktów rolniczych był tam, gdzie dziś jest hurtownia p. Okonka. Praca rolników była tragiczna. Jak przywozili zboże tutaj do magazynu, to każdy rolnik musiał workować zboże w domu, władawać te worki na wóz i koniem przywieźć do Recza. Tam była rampa, trzeba było z wozu władawać te wszystkie worki, potem zanieść je na wagę i wózkami wywieźć na miejsce i wysypać. Tak odbywał się skup zboża. Jak przenieśliśmy rozlewnię do góry, to zmniejszyła nam się powierzchnia magazynowa. Kupiliśmy w Choszczynie taką specjalną dmuchawę, że jak rolnik przyjechał z przyczepą, to nie musiał tego wszystkiego rozładowywać ręcznie. Wszystko szło szybciej i wygodniej. Okazało się jednak, że nie mieliśmy magazynu skupu zboża z prawdziwego zdarzenia. Postanowiliśmy, że musimy budować bazę magazynową. Na Wielgoszczy znajdował się plac, który dzisiaj jest własnością p. Sumary. Wtedy teren ten był własnością GS-u. Stwierdziłem, że tam będzie najlepsze miejsce, bo blisko głównej drogi, stacji kolejowej ... Wybudowaliśmy bazę na 1400 ton zboża. Była to jedna z najlepiej zmechanizowanych i nowoczesnych baz w województwie gorzowskim! Trawostacja, nowo wybudowana 50 - metrowa studnia, wszystko elektrycznie sterowane... Skończyliśmy budowę w 1988 roku. Dwa lata się cieszyliśmy tą bazą. Potem nastąpił krach finansowy. Cała nasza gospodarka w latach 90. była w tragicznym stanie, baza padła, rolnicy też popadli w długi... Nikt tego nie mógł jednak przewidzieć... GS upadł. Remor też prawie upadł. Teraz tam pracuje chyba tylko 15 pracowników. W sumie jest chyba około 40-tu. I tak to się niestety skończyło.

A jakie jest Pana najmiłsze wspomnienie związane z Pana pracą?

Najmiłsze to było to, że mogłem służyć ludziom. Pracowałem tam, gdzie mogłem dla mieszkańców coś dobrego zrobić. Jak coś kupiłem, coś przywiozłem, to była dla mnie największa satysfakcja, że to może komuś służyć. To w GS - ie. W Remorze naszą największą radością było to, jak zostały wybudowane nowe hale. Jak przeszliśmy do tych nowych wtedy obiektów, to jakość pracy była nieporównywalna. To był zakład z prawdziwego zdarzenia! Przedtem wszystko mieściło się w starej ruderze, w starych budynkach, warunki pracy były tragiczne.

Nie ma się co oszukiwać. Jak ktoś pracuje w dobrych warunkach, to wtedy aż chce się pracować.

Tak. Ta radość! To zadowolenie pracowników! Miło było patrzeć. Sukcesem było to, jak nas przestrzegali pracownicy. Jak coś pozytywnego zrobiliśmy, to zawsze było dobre słowo. To było najbardziej zadowalające. Bardzo ważne jest to, że my czuliśmy się w tej fabryce jak rodzina! Do dzisiaj jak spotykam się z pracownikami, to nawet teraz ja się czuję jak członek ich rodziny. Tak myślę. W GS - ie, jak zaczynałem, to było tam 28-30 osób. Jak odchodziłem, to było prawie 170 osób.

Mam jeszcze jedno pytanie odnośnie postaci ...

... Jeśli chodzi o fabrykę, to największą postacią był Stanisław Komada. Ten człowiek był wszędzie! Jeśli chodzi o odbudowę Recza, rozbudowę zakładu, budowę stadionu. Miał bardzo dobre kontakty, umiał je nawiązywać, potrafił się dogadywać z władzami, nawet wojewódzkimi.

A w stosunku do pracowników Pan Komada jakim był człowiekiem?

W stosunku do podwładnych był bardzo dobry. Oj! On nikogo nie skrzywdził, był bardzo wyrozumiały. Jak trzeba było kogoś ukarać, to przede wszystkim pracą. Ale nikt nie dyskutował. Drugą postacią, którą należałoby pochwalić jest, nieżyjący też, Tadeusz Kalinowski. On był też bardzo zaangażowany w zakład. Był szefem produkcji. Wszystkie ważniejsze wydziały podlegały bezpośrednio jemu. Bardzo dobrze mi się z nim współpracowało. Często mawiał: „Mietek, ludziom trzeba jakoś pomóc”. Chciał bardzo, żeby pracownikom się dobrze pracowało. Jak został naczelnikiem gminy, to dzięki jego działalności, zaangażowaniu, współpracy z władzami wojewódzkimi, wojewodą Recz miał bardzo duże profity. Zrobiono we wszystkich wioskach asfalt, założono gazociąg, wykonano kanalizację, oczyszczalnię ścieków. Właściwie większość inwestycji w Reczu zrobiono za Kalinowskiego. On był naczelnikiem w latach 1980-1990. Przestał być naczelnikiem, ale wielka szkoda, bo jak go odwoływano, to nie patrzono na jego dokonania, na jego wartość, ale na inne, polityczne sprawy. Wielka szkoda.

A z tych osób, które pracowały z Panem, kogo warto zapamiętać?

Pan Firlik, Pan Tuchelman - byli masarzami. Pan Okonek prowadził rozlewnię. Jest bardzo dużo ludzi, którzy mocno się angażowali w naszą działalność. Warto wspomnieć też Jana Cyliwka, Michała Cieplickiego - kierownika technologii. Tomasz Łobodziński współpracował ze mną. Z kadry, która zarządzała w Remorze żyje jeszcze tylko 6 osób. Pozostali już niestety nie żyją.



Jak idę na cmentarz, to widzę swoich kolegów. Cieplicki pracował w Remorze od początku, Łobodziński też... Alek Dąbrowski był głównym mechanikiem, Cyliwik prowadził inwestycje. To są ludzie, z których warto czerpać wzory. Ile ja wam rzeczy jeszcze nie powiedziałem... Mógłbym opowiedzieć trochę o historii Recza, ale może przy następnej okazji.

Dziękujemy.

O ostatnich latach Gminnej Spółdzielni rozmowa z Panem Janem Witkiem

Pracował Pan w Gminnej Spółdzielni w Reczu. Proszę opowiedzieć o początkach pracy w tym miejscu.

Rozpocząłem pracę w spółdzielni w maju 1979 roku. Wcześniej pracowałem w Remorze. W spółdzielni pełniłem funkcję wiceprezesa. Prezesem był wtedy Pan Mieczysław Sakowicz. Wcześniej nastąpiła zmiana zarządu i zaproponowano mi tę funkcję. Nie wiem, czemu, ale zdecydowałem się podjąć te obowiązki. Praca w GS - ie nie była atrakcyjną pracą ani finansowo, ani prestiżowo, a kłopotów było wtedy cała masa. Zdecydowałem się jednak i pracowałem w tej firmie w sumie 19 lat.

Od 1979 roku. Czyli niemal do końca funkcjonowania tej firmy...

Tak. Do końca działalności. Po mnie tylko jeszcze syndyk został na kilka miesięcy. Byłem wiceprezesem do roku 1990. Potem byłem prezesem do roku 1994. Następnie likwidatorem, a w końcu byłem też, nazwijmy to... pełnomocnikiem syndyka, chyba przez 2 lata. Syndyk zakończył działalność spółdzielni już definitywnie.

A w którym roku zakończyła działalność spółdzielnia?

W 1998. W ogóle muszę powiedzieć, że początki mojej pracy w spółdzielni były dosyć trudne. Największym kłopotem GS-u było to, że był on niedoinwestowany. Oczekiwania społeczne były dosyć duże... GS realizował nie tylko zadania biznesowe, ale też takie, które wynikały ze społecznego zapotrzebowania. Nie interes firmy był najważniejszy, a zabezpieczenie potrzeb ludności. Obowiązki, jakie



musieliśmy spełniać z tego tytułu, były przeróżne. Prowadziliśmy działalność produkcyjną i handlową: sklepy sprzedaży detalicznej w Reczu i na wioskach, produkcja pieczywa, masarnie, czyli produkcja wędlin, produkcja napojów gazowanych, rozlewnia piwa, no i oczywiście piekarnia. Do tego trzeba dodać działalność gastronomiczną, czyli restaurację.

Dwie restauracje wtedy funkcjonowały, prawda?

Jedna. Początkowo nazywała się Gospoda,

a później Basztowa na ulicy Ratuszowej, tam, gdzie teraz jest opieka społeczna. A od roku 1977 zaczęła funkcjonować Restauracja Hetmańska, dokładnej daty nie pamiętam, bo gdy przyszedłem do firmy, to ta restauracja już funkcjonowała.

Proszę powiedzieć, był Pan wiceprezesem w jakimś konkretnym zakresie?

Tak. Byłem wiceprezesem ds. handlu, gastronomii, produkcji i usług. Oprócz tego była jeszcze działalność w zakresie zaopatrzenia rolnictwa, skup oraz opał, nawozy itp. Była to odrębna działalność. W spółdzielni było dwóch wiceprezesów i prezes.

Prezesem był Pan Sakowicz?

Tak.

... a wiceprezesem oprócz Pana?

Jak ja przyszedłem do spółdzielni to wiceprezesem była Pani Salkiewicz, potem Pan Więsko. Po jego odejściu Pan Nykiel, a potem zostałem tylko ja. Właściwie był jeszcze przez pewien czas Pan Wojciechowski, ale on był chyba tylko półtora roku. Później zostałem ja jako prezes i wiceprezes. Wtedy działalność GS-u była schyłkowa. Po zmianie ustroju GS zaczął ograniczać swoją działalność. Taka była wtedy konieczność. Jak powiedziałem wcześniej, realizowaliśmy głównie potrzeby społeczne, a interes firmy był wtedy na drugim planie. Było to jednak bardzo ważne, gdyż z tym wiązały się inwestycje. Wiadomo, że początkowo założenia ustroju były takie, że głównym sektorem było rolnictwo. Gdy przestał być opłacalny żywiec, a zaczęła być bardzo opłacalna produkcja roślinna, to wtedy nastąpiło ożywienie gospodarcze.

Tak chyba było w latach 80.?

Tak. Wtedy okazało się, że trzeba szybko budować magazyn zbożowy, bo nie mieliśmy możliwości skupu tego, co wyprodukowali rolnicy. W rolnictwie szybko się zmieniało... nagle rolnicy zaczęli przywozić płody rolne ciągnikami, a nie końmi... Budowa magazynu stała się najważniejszą potrzebą. Zaczęliśmy tę inwestycję. Wybudowaliśmy na Wielgoszczy magazyn - dosyć nowoczesny jak na tamte czasy. Oczywiście inwestycje były oparte o kredyt. Sieć handlowa była wtedy nieciekawa, bo pracowaliśmy głównie na mieniu poniemieckim, a chciało się wybudować coś nowego. Tutaj w Reczu był właściwie tylko jeden sklep spożywczy, taki większy... W pewnym momencie, na początku lat 80., wybudowaliśmy na ulicy Słonecznej pawilon handlowy. Ale to jeszcze było mało jak na potrzeby mieszkańców i trzeba było dalej planować. W Reczu był jeszcze jeden mniejszy sklep pod siedzibą GS-u...

Tam, gdzie ma sklep teraz Pani Piekarska, tak?

Tak. Ale pomieszczenia były małe, a zapotrzebowanie, jeśli chodzi o obsługę, duże. Zaczęliśmy myśleć o budowie, nawet wbrew naszemu, jak się później okazało, możliwościom finansowym. Wybudowaliśmy ten duży pawilon handlowy na ulicy Środkowej.

W centrum miasta.

No tak. Położony był dosyć dobrze, ale okazało się, że jest to ponad możliwości i ponad potrzeby.

Jednak...

Restauracja była duża, a wykorzystana była tylko częściowo. Jak funkcjonował dobrze Remor, to były wydawane posiłki dla mieszkańców. Potem to zaczęło podupadać i restauracja przestała być rentowna. Gdyby można było z pewnym opóźnieniem realizować nasze zamierzenia, to prawdopodobnie nie budowalibyśmy pawilonu, ale część restauracji wykorzystalibyśmy pod działalność handlową.

Czyli oczekiwania wskazywały na to, że powinien być taki duży sklep, ale okazało się, że...

... było to na wyrost. To znaczy... zmieniły się czasy. Tak bym powiedział. Wtedy też wszyscy zaczęli handlować... pojawiła się dla nas konkurencja. Powtórzę, że nasza działalność w dużej mierze oparta była o kredyt, a kredyt powoduje koszty. Wtedy też kredyt był bardzo drogi, odsetki bardzo wysokie i nasze ceny musiały być wyższe niż u konkurencji. Chodziło o to, aby nasza działalność była w miarę rentowna. To była główna przyczyna schyłku naszej działalności.

Zmian gospodarczych, które wtedy następowały, nie można było przewidzieć. Dopiero po czasie okazało się, że ...

... powiem inaczej. Wtedy, gdy zaczęliśmy budować była duża potrzeba. Wszyscy chcieli i byli za. Początki były nawet obiecujące, bo naszą działalność zaczęliśmy też rozwijać, nawet dość mocno. Ale ceny były jednak wyższe niż u konkurentów i ludzie zaczęli kupować gdzie indziej.

Ogólnie jeśli chodzi o nasz GS, to nie wspominałem o czasach kryzysu gospodarczego, kiedy nic nie można było kupić. Były takie momenty, kiedy na półkach stał tylko ocet i sól. Pozostałe towary były na tzw. rozdzielniku (przydziale - przyp. red.). Jak rozpocząłem pracę w GS - ie, to dostawy do sklepów były co tydzień, ale ilości tych dostaw były niewystarczające dla poprawy zaopatrzenia w ogóle. Potem dostawy zaczęły być rzadsze - co 10 dni, a potem co 2 tygodnie - i nie było czego wozić. Wzrastało niezadowolenie mieszkańców, robiły się kolejki pod sklepami, gdzie ludzi było bardzo dużo, a towaru brakowało. Niezadowo-

lenie społeczność wyładowywała na nas - na zarządzie, na pracownikach sklepu - były to nieprzyjemne momenty.

Rozumiem, że rozmawiamy o latach 80.?

Tak. To był początek lat 80. Były kartki... był to okres, gdzie nie można było zarobić jakichś konkretnych pieniędzy i z czego inwestować. Gdy potem trochę sytuacja się poprawiła i zaczęliśmy planować jakieś budowy, to zmienił się ustrój. Z perspektywy czasu wydaje mi się, że zaczęliśmy trochę za późno inwestować. Był taki okres, że po wybudowaniu magazynu zbożowego mieliśmy plac, miejsce do rozładunku zboża, ale nie można było go kupić, dlatego że byliśmy firmą, która chyliła się ku upadkowi.

Rozumiem. Ale możliwości były widoczne, tylko nie było funduszy?

Tak, a do tego nie było chętnych, którzy mogliby to wydzierżawić. Ludzie się bali po prostu i nie chcieli z tego skorzystać. Nie ma się czym chwalić, ale gdy GS swoją działalność systematycznie zawęzał i pojawiła się możliwość, aby część sklepów mieszkańcy brali w dzierżawę - wydzierżawiliśmy masarnię, część sklepów. Sam kilka sklepów sprzedałem.

Rynek wymusił taką formę ratowania firmy?

Niestety tak. Może niestety albo ... stety. Byliśmy bowiem jedną z pierwszych firm (GS-ów), które miały tak ciężką sytuację. Powodem tego było to, że w okresie zmian ustrojowych i kapitałowych zaczęliśmy inwestycje, których nie mogliśmy dokończyć. W zasadzie... muszę powiedzieć, że wszystkie kredyty zaciągnięte na inwestycje spłaciiliśmy, ale już nie było za co kupować towaru i konkurować. Złożyłem wtedy wniosek do sądu o ogłoszenie upadłości - to był rok 1994. Myślę, że gdyby sąd przychylił się wtedy do naszego wniosku, to można było dalej funkcjonować, bo można było zbyć część majątku, spłacić długi i dalej działać. Niestety sąd na to nie wyraził zgody i musieliśmy przejść drogę poprzez likwidację do upadłości, a ja chciałem pominąć proces likwidacji. Bezpośrednią przyczyną upadku GS-u były też wysokie podatki i stawki ZUS, które właściwie uniemożliwiały nam prowadzenie rentownej działalności.

Proszę powiedzieć, jak dużo pracowników pracowało w Gminnej Spółdzielni w okresie, kiedy Pan był członkiem zarządu i wiceprezesem firmy.

Wtedy pracowało około 50 osób na stałe, a tak maksymalnie to ok. 190 pracowników. Ludzi było dosyć dużo, licząc z tymi, którzy z nami współpracowali. Im bliżej upadłości firmy, to liczba pracowników się redukowała. W momencie likwidacji pracowało jednak jeszcze ok. 100 osób, głównie kobiet. Był to trudny okres osobiście dla mnie i dla tych ludzi...

Nie dziwię się. Początek lat 90. dla takiej działalności spółdzielczej i np. PGR-ów to okres najcięższy...

Tak. Dodam, że mankamentem naszej działalności było to, że PGR - y nie korzystały z naszego obrotu towarowego. Sklepy istniały i funkcjonowały w miejscowościach pegeerowskich, ale rolnicy mleko mieli swoje, mięso swoje - nie było sensu, żeby kupowali u nas. Także my z PGR-ów nie żyliśmy. A jednak, to na GS - ie ciążył obowiązek utrzymania sklepów na wioskach, z których nie było takiego utargu, jak byśmy sobie tego życzyli. Interesu z PGR - ami nie robiliśmy.

A wydawało się, że jest inaczej ...

To znaczy mankamentem było to, że byliśmy miejscowością typowo pegeerowską. Tylko Sicko, Suliborek i Żeliszewo były miejscowościami, gdzie dominowali rolnicy indywidualni. Ale PGR - y zaopatrywały się w towary gdzie indziej niż nasza spółdzielnia.

Panie Janie, proszę powiedzieć, bo wcześniej nie zapytałem, a powinienem, Pan jest mieszkańcem Recza od dziecka, prawda?

Nie. Ja się urodziłem koło Gryfic w 1948 roku, a z rodzicami przyjechałem do Recza w 1952. Moja mama pochodzi ze wschodu, a ojciec jest z poznańskiego. W 1946 roku wrócił z Francji, mama trafiła w okolice Gryfic. W Reczu była nasza rodzina, więc - można powiedzieć - Recz był miejscowością, do której członkowie mojej rodziny się zjeżdżali. Tutaj zacząłem chodzić do szkoły, a niedługo po jej ukończeniu zacząłem pracować w Remorze. W Remorze najpierw pracowałem w zaopatrzeniu, potem prowadziłem kooperacje. Prezesem firmy był wtedy Pan Sakowicz, który był też technologiem. To jemu

jako pierwszemu zaproponowano, by został prezesem GS-u, a on namówił mnie, żebym poszedł razem z nim.

Pamiętam rozmowę z Panem Sakowiczem, który mówił, że nie wie dlaczego, ale się zgodził...

... bo nie było żadnego uzasadnienia finansowego, ani prestiżu. W Remorze była spokojniejsza praca. Może trochę mniej pieniędzy, ale pracowało się spokojniej. W spółdzielni więcej problemów, większa odpowiedzialność.

Ale Wasza wcześniejsza współpraca układała się na tyle dobrze, że przyszliście w tym samym czasie do GS-u.

Jeśli chodzi o współpracę między pionem technologicznym i kooperacyjnym w Remorze, czy wcześniej zaopatrzeniowym, rozwijała się dobrze. Trochę się z panem Sakowiczem poznaliśmy, więc zgodziłem się przyjść do GS-u razem z nim.

O trudnościach GS-u już Pan wspominał. A jakie sukcesy zawodowe, czy w Remorze, czy też GS - ie, mógłby Pan wymienić? Takie, które - według Pana - dla zakładu były najistotniejsze?

Jeśli chodzi o Remor to nie chciałbym się wypowiadać, natomiast w spółdzielni każda inwestycja była jakimś sukcesem - większym lub mniejszym. Nie wypada narzekać na poprzedników, ale gdy przyszliśmy do GS-u, to mieliśmy wrażenie, że jest... jakby powiedzieć... Każda nasza wizyta w Gorzowie (struktury organizacyjne spółdzielni były wówczas tak rozbudowane) była naznaczona tym, że wypowiedzi szefostwa były krytyczne o Reczu. A potem zmieniła się trochę władza. Do Recza przyszedł Pan Kalinowski, który objął stanowisko Naczelnika i wtedy w Reczu zaczęło się trochę zmieniać. Widać było, że są efekty wspólnych działań. Recz otrzymał tytuł Mistrza Gospodarności; przy tym i Spółdzielnia się trochę odbiła. Zaczęliśmy wypracowywać zyski...

Niezależnie od tych trudności, o których Pan mówił...

Tak. Po jakimś czasie na szczuble wojewódzkim byliśmy wymieniani jako dobra spółdzielnia. Nikt już nas nie krytykował. Wydawało się, że będzie dobrze. Gdyby nie przeinwestowanie i zmiana ustroju, spółdzielnia mogłaby dalej funkcjonować. Nie wiem, czy to źle, czy dobrze. Dzisiaj, patrząc z perspektywy czasu, wszystko było bardziej sterowane centralnie; nie na wszystko mieliśmy wpływ jako zarząd. Przykładowo problemem było też to, że w Reczu była mleczarnia, była produkcja sera, a w sklepie nie można było kupić produktów mlecznych. Ludzie nie mogli nam tego darować: „Jak to jest, że w Reczu produkują ser, a nie można kupić sera?” - pytali. No nie można było, bo wszystko objęte było jakimś rozdzielnikiem i można było sprzedawać tylko tyle, ile nam się należało. Pozostała produkcja była wywożona. W związku z tym trudno też mówić o wielu sukcesach. Człowiek był wtedy jeszcze młody, inaczej patrzył na życie.

Ale sam fakt tego, że w tych okolicznościach, dość trudnych lat 80., jednak udało się ten GS trochę zmienić i na firmę patrzono już mniej krytycznie... to chyba jednak można uznać za sukces...

Ma Pan rację. I nastrój wśród pracowników był - wydaje się - bardziej pozytywny. Mam wrażenie że ludzie byli wtedy bardziej zjednoczeni, skonsolidowani. Każdy „ciągnął” ten wózek w jedną stronę, pracownicy mieli poczucie, że jest to ich zakład, a oni są jego ważną częścią. Widać to było po tym, jak wtedy ludzie pracowali, jak się bawili, jak się szanowali. Było inaczej niż teraz. To nam - jako zarządowi - dawało satysfakcję z tego, co robimy. Pieniądzy może nie było tyle, ile każdy by chciał, ale współpraca między pracownikami układała się dobrze.

Mówi Pan o tym, co często pojawia się w naszych rozmowach z mieszkańcami, że relacje i więzi, które tworzyły się w społeczeństwie, były wtedy bliższe i bardziej przyjacielskie.

Może to też pokłosie wojny. Bo po wojnie mieszkańcy Recza zaczęli tworzyć tę na-



szą społeczność i się jednoczyć, wspólnie działać. Problemy były wtedy bardziej życiowe i to też powoduje większą integrację ludzi. Spojrzenie na świat było wtedy inne.

Skoro rozmawiamy o mieszkańcach Recza, proszę powiedzieć, czy są jakieś postaci, osoby, z którymi Pan współpracował w GS - ie, które warto wspomnieć, które miały wpływ na funkcjonowanie spółdzielni. Mam na myśli pracowników sklepów, ekspedientki, ale też osoby z zarządu firmy.

Jest szereg osób, które warto wymienić, ale nie chciałbym nikogo pominąć. Ogólnie mogę powiedzieć, że załoga w GS - ie była naprawdę bardzo dobra. Ale chciałbym powiedzieć i wspomnieć o bardzo dużym zaangażowaniu w pracę spółdzielni długoletniego przewodniczącego rady nadzorczej Pana Bujakowskiego, który kiedyś był też dyrektorem szkoły w Sokolińcu. Duże wrażenie na mnie zrobił też Pan Długosz, który odcisnął duże piętno na spółdzielni. Pan Długosz pełnił funkcję sekretarza w radzie nadzorczej. Była Pani Kuć - Garus, która była przewodniczącą rady nadzorczej do końca działalności spółdzielni. Ci ludzie często aktywnie stawiali czoła wszelkim problemom, które się pojawiały. Mieszkańcy czasem mieli pretensje nie tylko do zarządu, ale też do tych, którzy nas rozliczali, czyli m.in. do rady nadzorczej. Kto się jednak z perspektywy zagłębił w problemy, spojrzał na cyfry, to inaczej te problemy widział. Ci ludzie, których wymienię, żywo interesowali się działalnością spółdzielni i zawsze mogliśmy liczyć na ich wsparcie. Pan Długosz, na przykład, pełniąc funkcję sekretarza wprowadzał dużo świeżości i rozsądku w nasze działania. Czasem potrafił w kilku słowach wyjaśnić członkom rady nawet bardzo skomplikowane problemy.

Okazuje się, że Pan Długosz był nie tylko znanym i cenionym nauczycielem, ale też aktywnym społecznikiem.

Według mnie Pan Długosz był społecznikiem nie tylko na miarę całej gminy, ale może i więcej. Z resztą, był nie tylko moim nauczycielem, ale też świetnym człowiekiem, przykładnym i oddanym mieszkańcem Recza.

Nie spodziewałem się, że kiedykolwiek będę rozmawiał o Panu Długoszu w przypadku spółdzielni, ale to bardzo ciekawe...

No tak. Z resztą Pan Bujakowski też był nauczycielem. Pamiętam taką sytuację przy końcu działalności spółdzielni, jak miał być wybrany likwidator, to Pan Długosz jeździł do Gorzowa do jednostki rewizji gospodarczej i zasięgał języka kogo powołać na likwidatora firmy. Nie wypada się chwalić, ale zaproponowano, bym to ja pełnił tę funkcję. Chyba trochę ludzie mnie znali i mi zaufali. Osobiście był to jednak dla mnie bardzo trudny czas, gdyż trzeba było podejmować decyzje o zwalnianiu pracowników. Taka była rola likwidatora, ktoś to musiał zrobić.

A jak wyglądał taki typowy dzień w Pana pracy jako osoby, która zarządza spółdzielnią. Czy to była typowa praca biurowa czy też w terenie. Proszę o tym powiedzieć.

Tak jak pewnie dziś, najpierw należy się zorientować, jak danego dnia funkcjonuje firma, czy są jakieś problemy. Bo trzeba powiedzieć, że produkowaliśmy przecież artykuły, które należało codziennie rozwodzić. Czy wszystko jest rozwiązane na czas? Czy nie ma gdzieś jakiejś awarii, gdyż awaryjność też była częstym problemem. W zasadzie dzień jak co dzień. Dużo telefonów do pracowników, od mieszkańców, władz spółdzielni. Było różnie, ale często bywało naprawdę ciężko. No bo jak pojawił się jakikolwiek problem, to trzeba było go na bieżąco rozwiązać, podjąć trudną decyzję. W czasach tego dużego kryzysu taką przykrą sprawą, która utkwiała mi w pamięci, było to, że przyszła do mnie pani, która była nauczycielką, była w ciąży i nie mogła kupić sobie materiału na spódnicę. Była to tak przykra i upokarzająca dla niej sytuacja, że starałem się jakoś tej pani pomóc. Nie można było stosować jakiejś protekcji czy czegoś takiego, ale zwykle po ludzku pomóc. Ona nie miała siły się pchać w kolejki, jak była dostawa materiału, a potrzeba była duża. To pamiętam do dzisiaj.

Jeśli chodzi o sprawy przyjemne i wesołe było tego sporo, ale były to rzeczy małe i codzienne. Muszę podkreślić, że bardzo przyjemnie pracowało mi się z Panem Sakowiczem. W zasadzie to on ponosił większą odpowiedzialność jako prezes. Ale on - zarówno sukcesami jak i odpowiedzialnością - potrafił dzielić się ze swoimi wiceprezesami. Czyli nie brał sukcesów tylko dla siebie, ale wskazywał, że inni pracownicy też się do tego przyczynili. Miłe wspominać to, że widać było, że szef ciebie dostrze-

ga i nie pomija twojej pracy. Lata zleciały bardzo prędko w tym GS-ie. Nawet nie wiadomo kiedy...

A ma Pan jakieś oczekiwania czy marzenia związane ze spółdzielnią i jej działalnością. Chodzi mi o spojrzenie na firmę z perspektywy czasu...

Powiem tak. Jak nastąpiła zmiana ustrojowa i gospodarcza, to według mnie tak się miało stać. Te GS - y nie miały racji bytu, bo opierały się na innym systemie gospodarczym. Struktura organizacyjna była za bardzo rozbudowana. Zwiększało to koszty...

A czego najbardziej szkoda? Wiemy, że w 1998 roku GS się rozwiązuje, wcześniej był w stanie likwidacji...

W tamtym momencie planowałem zawiązać spółdzielnię pracowniczą, która mogłaby funkcjonować w oparciu o wydzierzawiony majątek GS-u. Byłem nawet po uzgodnieniach z syndykiem. Ale okazało się to niemożliwe, gdyż komornik sprzedał



część majątku, np. pawilon handlowy. To był taki moment, że była jeszcze nadzieja, że coś tam udałoby się dla tych ludzi, którzy chcieli przystąpić do tej spółki, uratować...

Z tego, co Pan mówi, to szkoda też tych inwestycji, które zostały zrealizowane...

Ma pan rację. Zawsze gdzie jest jakiś zysk, czyli bilans finansowy się zgadza, pojawiają się pieniądze do podziału. Można było te pieniądze rozdzielić na pracowników, w jakimś stopniu albo przeznaczyć na inwestycje. Obciążeniem było jednak to, że jak się dało ludziom, to od tego trzeba było zapłacić podatek i ZUS, które wtedy były bardzo wysokie, a jak się przeznaczano na inwestycje, to pieniądze zostawały w całości. Jak GS zaczął się rozwijać - mieliśmy bazę magazynową, prowadziliśmy skup zboża, planowaliśmy obrót towarowy w oparciu o skup opału i nawozów ze względu na dobrą lokalizację - to okazało się, że było już późno, trzeba było się „zwijać”, że tak powiem. Muszę powiedzieć, że ludzie wtedy też popierali jakoś nasze działania, bo mieli świadomość, że to będzie dla nich. Z resztą, nie mieliśmy innego wyjścia. Podam przykład. Magazyn zbożowy i wytwórnię wód mieliśmy zlokalizowaną w piwnicy. Ze względu na warunki higieniczne trzeba było ją przenieść na piętro kosztem miejsca na magazyn zbożowy. W tym magazynie mieściło się wtedy ok. 200-250 ton zboża, które trzeba było szybko odwozić, a z tym też były problemy. Ludzie się denerwowali, na dyspozycje musieliśmy długo czekać. Trzeba było zainwestować w budowę nowego, bardziej nowoczesnego magazynu zbożowego, bo sprawa była niemalże gardłowa.

Czyli inwestowanie było koniecznością.

Podobnie sklep. Ogólnospożywczy przez pewien czas był tylko jeden na cały Recz. I mimo że ludzie często korzystali ze swoich produktów, to jednak budowa pawilonu handlowego też była koniecznością, bo w sklepie było ciasno, a warunki sanitarne nie takie jak trzeba. Inna sprawa czy pawilon musiał być aż tak duży. Wtedy jednak każdy chciał, żeby wszystko było większe, efektowne i bardziej funkcjonalne.

Człowiek mądry jest po fakcie, prawda... tutaj ważne było też to, jak się sytuacja - nawet ta polityczna - ułożyła.

Patrząc teraz, muszę stwierdzić, że likwidacja GS-u była chyba jednak nieuchronna ze względu na wiele czynników. Mam wrażenie, że w pewnym momencie było to prowadzenie działalności „na siłę”.

Proszę powiedzieć, czy jest Pan osobą, która ze swojej pracy w spółdzielni jest zadowolona czy ma Pan mieszane uczucia.

Raczej to drugie, ze względu na to, że to ja musiałem kończyć działalność tej spółdzielni. Gdyby

nie to, to byłbym zadowolony. Muszę powiedzieć, że bałem się, że ta likwidacja zakończy się dla mnie jakimś zawalem czy czymś podobnym... brak snu, nerwy dały się we znaki. Ale muszę przyznać też, że ogólnie było duże zrozumienie ludzi. Na ile było to możliwe prowadziliśmy działalność do końca. Nawet jak syndyk nastąpił, to funkcjonowała jeszcze piekarnia, restauracja. W pewnym zakresie ludzie jeszcze pracowali. Ale ja - mimo wszystko - bardzo to przeżyłem.

Dziękuję za rozmowę.



O pracy w rozlewni rozmowa z Panią Wiesławą Wyroślak

Kiedy przybyła Pani do Recza i jak daleko sięgają Pani wspomnienia związane z miastem?

Od urodzenia mieszkam w Reczu. W dzieciństwie mój dom był na ul. Chyżej. Wspomnienia związane z miastem są bardzo miłe. Kiedyś w Reczu było gdzie wyjść. Istniało kino, chodziło się na przeróżne filmy. Tam, gdzie jest teraz opieka społeczna, była restauracja. Nie można zapomnieć o piekarni Pana Flejtra. Chodziło się po pyszne bułeczki i ptysie.

Pracowała Pani w rozlewni. Dzisiaj to miejsce nie istnieje. Mogłaby Pani nam opowiedzieć, jak wyglądało to miejsce?

Gdy zaczęłam pracę, to rozlewnia była w piwnicy. Warunków żadnych nie było. Woda lała się po fartuchach. Było bardzo zimno. Przywozili nam w beczkach piwo, a my rozlewaliśmy je w butelki. W kanisterkach był sok, który był rozrabiany z wodą przez kierownika. My później za pomocą maszyny rozlewaliśmy to w butelki. Gotowe oranżady, wody czy piwo trafiały do skrzynek, a później do sklepu.

Jak wyglądał dzień pracy w tym miejscu? Na czym polegała Pani praca?

Moja praca polegała na kabzłowaniu. Gdy miałam jeszcze trochę czasu, to pomagałam koleżance w naklejaniu etykiet. W wolnej chwili podbiegałam do myjki i myłam butelki. Było to takie duże koło. Nakładało się butelki i woda pod ciśnieniem myła je. Pracowałam od 7. rano do 15. Przerwa była o 10., jadło się śniadanie i wracało się dalej do pracy.

Jakie jest Pani najmiłsze wspomnienie związane z tą pracą?

Moją pracę wspominam bardzo miło. Nasz zespół był bardzo zgrany. Pracowaliśmy w 6 osób. Najmilej wspominam wspólne śniadania. Jedliśmy i rozmawialiśmy o przeróżnych sprawach.

Jakie wydarzenia czy postaci najbardziej zapamiętała Pani ze swojej pracy?

Jeśli chodzi o wydarzenia to pocięte palce [śmiech]. Było to na porządku dzien-

nym. Czasami butelki pękały pod kapsłownicą i palce zawsze przy tym ucierpiały. Z osób to najmilej wspominam moją koleżankę Krystynę, z którą najlepiej mi się pracowało i rozmawiało.

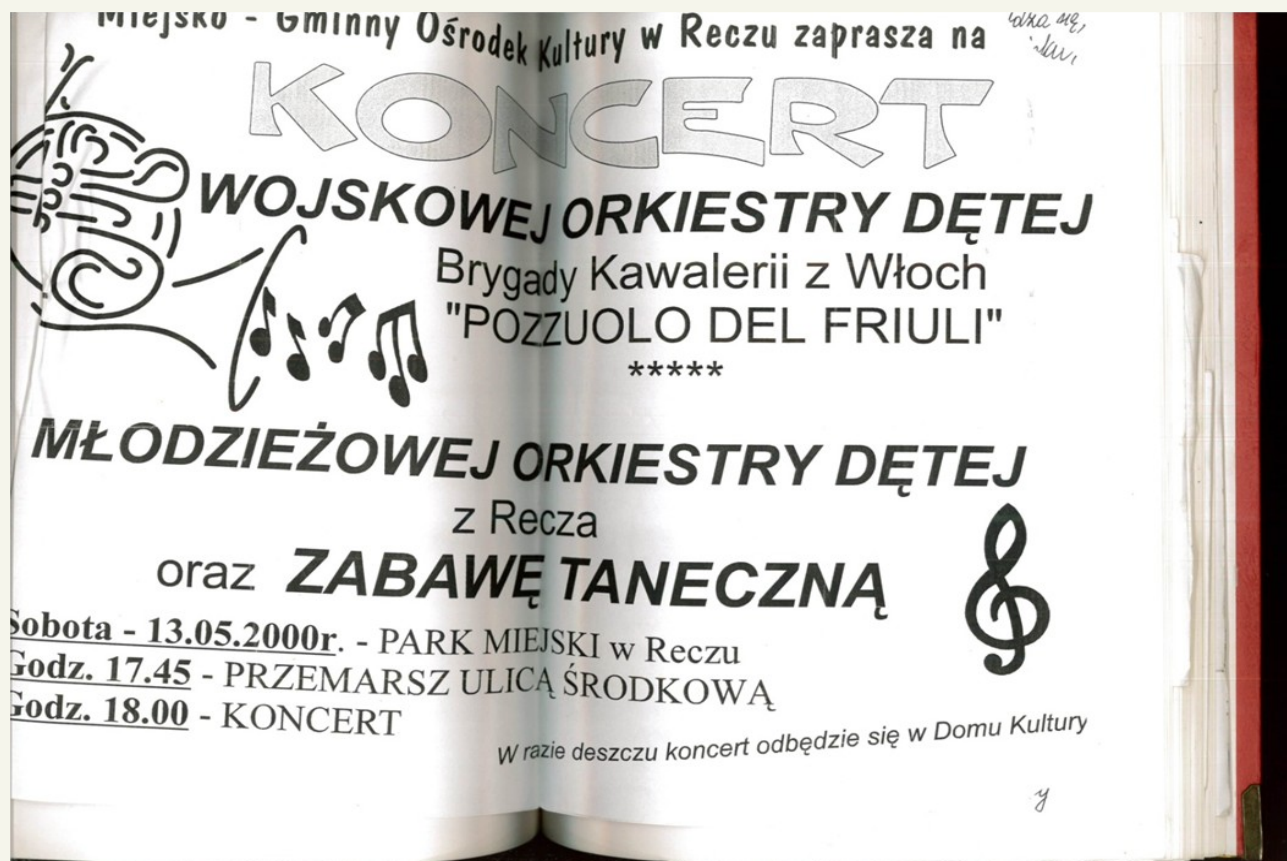
Jakie trudności napotkała Pani w związku ze swoją pracą?

Myślę, że nie miałam większych trudności ze swoją pracą. Dobrze mi się pracowało. Jedyne, o czym mogłabym wspomnieć, to pokaleczone palce. Do dzisiaj mam pamiątki w postaci małych blizn [śmiech].

Jakie swoje sukcesy zawodowe mogłaby Pani wymienić?

Zawsze 1 maja byłam wynagradzana i wyczytywana jako jeden z lepszych pracowników. Gdy zaczęłam pracować w rozlewni, byłam młodsza od załogi, która pracowała już tam przez jakiś czas. Bardzo było mi miło, gdy byłam wyróżniana jako jedna z najmłodszych tam osób.

Bardzo dziękuję za wywiad.



O pracy w Restauracjach Basztowa i Hetmańska rozmowa z Panią Anną Huszcza

Kiedy przybyła Pani do Recza? Jak daleko sięgają Pani wspomnienia związane z miastem?

Do Recza przyjechałam jako młoda mężatka w 1967 roku. Pracę podjęłam w restauracji "Basztowa" i przepracowałam tam troszkę czasu, dopóki nie wybudowano nowej, pięknej restauracji przy ul. Środkowej, którą nazwano "Hetmańska". Tam pracowałam aż do przejścia na emeryturę.

Mogłaby Pani opowiedzieć nam o tym, jak wyglądała ta restauracja? Jakie były tam warunki?

W tej pierwszej restauracji mieliśmy kuchnię w piwnicy. Było tam bardzo smutno, brzydko, ciężko. Mieliśmy piec kaflowy, taką kuchnię na węgiel. Praca tam była bardzo trudna. Za to w nowej restauracji mieliśmy już znacznie lepiej. Posiadaliśmy gazówki (kuchenki gazowe), kocioł parowy, patelnie elektryczne. W sumie, to nowa restauracja była o wiele lepiej wyposażona w sprzęt oraz była tam większa przestrzeń do pracy.

Jak wyglądał dzień pracy w tym miejscu? Na czym polegała Pani praca?

Moja praca polegała na dopilnowaniu pracy Pań kucharek, musiałam przygotować jadłospis, wydać towar, przypilnować, aby każdy przestrzegał warunków higienicznych. Dbałam o receptury, to znaczy o to, aby w każdym daniu znalazły się odpowiednie składniki. Musiałam rozliczać kelnerki, robić raport. Także pracy starczało na dosyć długo [śmiech].

Jakie jest Pani najmiłsze wspomnienie związane z tą pracą?

Bardzo cenię i ceniłam sobie współpracę z Paniami, które pracowały w kuchni oraz z uczennicami, które przychodziły do nas na praktyki. Były to wesołe czasy. Dziewczynki były spontaniczne, czasem nawet troszeczkę narozrabiały, ale za to my przy nich czułyśmy się znacznie młodziej, było zabawnie [śmiech]. Takie to były wspomnienia miłe dla nas. Jeśli chodzi o Panie, Pani Jola, Ola, Jasia, Stasia, było ich bardzo dużo. Pracowało nam się dobrze, atmosfera była znakomita. Byłyśmy życzliwe jedna w stosunku do drugiej.

Jakie sukcesy zawodowe może Pani wymienić?

Do moich sukcesów zawodowych należą między innymi wszystkie dziewczyny, które skończyły szkoły gastronomiczne, a ja byłam ich instruktorką. No ... był w tym jakiś mój wkład. Pilotowałam je od pierwszej do trzeciej klasy. Starłam się, aby coś z tych praktyk wyniosły oprócz obierana ziemniaków [śmiech].

Jakie wydarzenia ze swojej pracy szczególnie Pani zapamiętała?

Takim smutnym wydarzeniem było to, jak wyjechałam na urlop i przez telefon dowiedziałam

się, że nie mam do czego wracać, bo restauracja się spaliła. Ten dzień był dla mnie zaskakujący, pamiętam więc to dobrze. Ale jak już później uporaliśmy się z tym, to potem wszystko było dobrze, wróciło do normy.

Jakie trudności napotkała Pani w związku z pracą w restauracji?

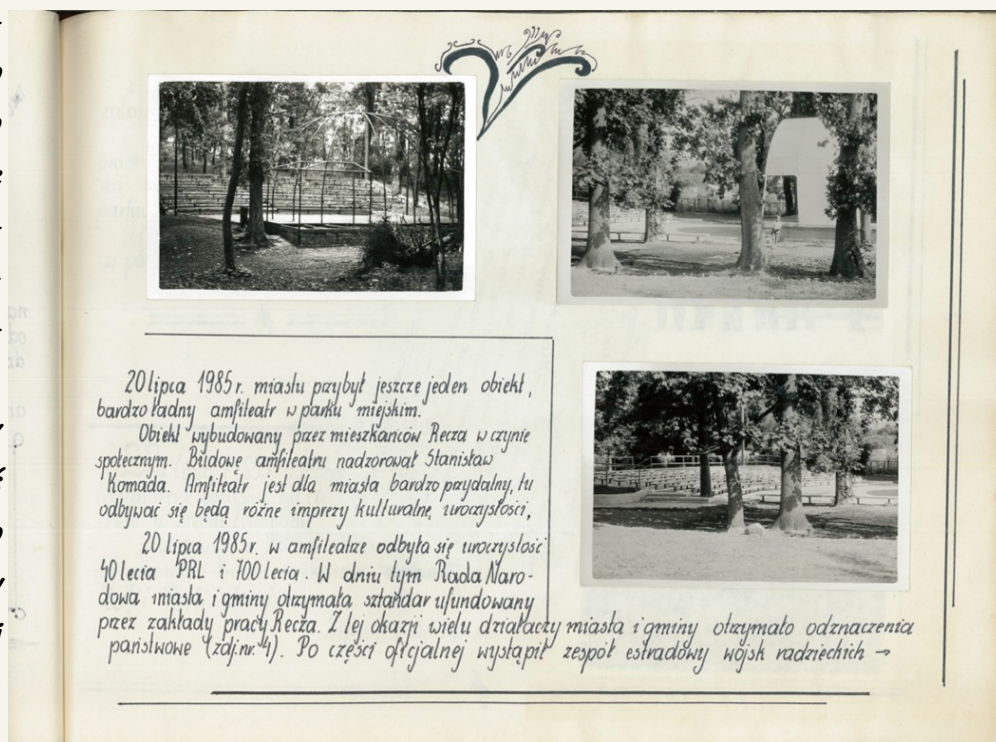
No ... było tych trudności trochę [śmiech]. Na przykład, gdy konsument był niezadowolony, coś mu nie smakowało. Starał się w jakiś sposób wyrzucić na nas presję. Albo jak przyjechał sanepid i pogonił nam kota. No, były te sprawy niezbyt miłe, ale można było to przeżyć. Teraz, z perspektywy czasu, wygląda na to, że nie było to nic takiego. Trzeba było wziąć to sobie trochę do serca, a trochę na luz [śmiech].

Jakie ma Pani marzenia i oczekiwania związane z dawnym zawodem?

No cóż, moim marzeniem jest to, żeby Recz bardziej się rozwijał, był przyszłością ludzi młodych, a nie tylko emerytów. Żeby w naszym mieście ponownie coś się zaczęło dziać, by Dom Kultury był bardziej prężny. Chciałabym, by pojawiło się jakieś kino. Marzę, by jak się idzie ulicami, nasze miasteczko pokazało się z lepszej strony, a nie, że chodniki są rozwalone i emeryt jakiś czy emerytka z laseczką lub wózeczkiem może sobie pozbijać kolana [śmiech].

To byłoby takie fajne, żeby coś się po prostu zaczęło dziać. Żeby nasze środowisko się poprawiło i dostosowało się do dzisiejszych czasów.

A gdyby mogła Pani cofnąć się w czasie, to które miejsce w Reczu najchętniej by Pani odwiedziła?



W ogóle to ja bardzo lubię chodzić po Reczu. A najchętniej to wokół Recza. A kiedyś? Kiedyś lubiłam chodzić na mecze, do parku na zabawy, dożynki, majówki. Kiedyś były te święta takie, jak to mówią, komunistyczne, ale było znacznie weselej niż obecnie.

Dziękuję za rozmowę.

O pracy w mleczarni swojej mamy Stefanii opowiada Pani Elżbieta Kosito

Jakie są Pani najwcześniejsze wspomnienia związane z Reczem?

Moje? Ojej. Nie wiem ... Od 4 roku życia ... Do przedszkola nie chodziłam, bo mama była w domu, nie pracowała, ale bardzo często z ciocią w czasie wakacji chodziłam nad Inę. Tam opalaliśmy się, w bezpiecznym miejscu się kąpaliśmy. To był taki zajęty czas ... była ta Ina, wodospad. Chodziłam tam zazwyczaj z ciocią. To takie najwcześniejsze wspomnienia. Bardzo często bawiłam się z moim bratem, ponieważ niedaleko mieliśmy ogród, w parku miejskim. Tam była scena, jeszcze troszkę inna niż dzisiaj. Dziś jest tylko taka podmurówka, a wtedy była całość wybudowana ... tam biegaliśmy, to było nasze miejsce zabaw. A dość było bezpiecznie, no bo i trawa i blisko do domu, bo mieszkałam na Tylnej, więc tam można było spokojnie iść ...

A Pani urodziła się w Reczu?

Tak, urodziłam się w Reczu. Porodówka była w Reczu, na górze tam, gdzie teraz są szczepienia i tam się urodziłam 11 stycznia, zimą.

A Pani rodzice przybyli tutaj ...

... to znaczy moja mamcia jest z poznańskiego, tato natomiast ze wschodu, spod Wilna, niedaleko ... Tutaj przybyli. Mój tato w Reczu zapoznał mamę, bo przyjeżdżała do wujostwa i po sąsiedzku, tak się zapoznali i mama zdecydowała o tym, by zamieszkać w Reczu.

Pani mama pracowała w mleczarni. Czy mogłaby nam Pani opowiedzieć, jak wyglądała praca i na czym polegała?

Tak. Mama pracowała w mleczarni 21 lat. W 1970 roku, po śmierci mojego brata, który potrzebował opieki, dopiero wtedy zdecydowała się ... najpierw jako taki sezonowy pracownik, bo nie myślała, że będzie tam pracowała aż do renty, emerytury. W mleczarni została przyjęta najpierw jako pracownik, jak już powiedziałam, sezonowy, gdzie w dojrzewalni serów, trzeba było się nimi, że tak powiem, opiekować: myć z pleśni i takie podobne sprawy. Natomiast po jakimś niedługim czasie została wysłana na kurs mistrzowski, aż do Bielska Białej - tam została skierowana przez kierowniczkę i pojechała na 2 czy 3 tygodnie. Zdobyła tytuł mistrza serowara. Tu w Reczu tylko mama miała takie upoważnienie. Produkcja serów szła w zakładzie bliżej ulicy Słonecznej. Była tam bardzo duża wanna na 5000 litrów mleka, wszystkie urządzenia były z nierdzewnego metalu. Robiono tu sery podpuszczkowe, ale twarde, które dojrzewają dość długo. Są etapy produkcji tych serów. Pierwszy etap to mleko zwożono, a było tego dużo, bo dwie wanny na łącznie 10000 litrów to ogromna ilość ... zwożono to mleko z sąsiednich okolic z PGR-ów i od indywidualnych gospodarzy. Przyjmowano to mleko na takiej rampie i przepompowywano przez wirówkę (chodziło o oczyszczenie mleka) do tej wanny. Muszę jeszcze wspomnieć, że mleko musiało być wysokoprocenowe tłuszczowo ... Do serów żółtych idzie mleko wysokotłuszczowe. Później podgrzewano to do odpowiedniej temperatury i dodawano podpuszczkę tak zwaną (kilka kropli naturalnego wyciągu z żołądków cielaków chyba), naturalna rzecz, nie sztuczna. Ta podpuszczka miała na celu słodkie mleko zrobić tak, jakby był to twarożek - to było słodkie. Następnie panie kroili to ziarno maszynowo, oczywiście nie same - byli też pracownicy, którzy w tym pomagali. Sprawdzano się recepturę, tę serwatkę wypompowywano do specjalnego basenu, a gospodarze brali to na karmę do karmienia, przeważnie, trzody chlewnej. Resztę wyplukiwano i ręcznie już, wiadrami nalewano do takich forem, które były nierdzewne, z dziurkami i wyścielane chustami z lnu. Przykładano następnie ciężarki, żeby to ziarno się zbito, polewano kilkakrotnie gorącą wodą, żeby zrobić z tego jednolitą masę, przewraca-

to się dwu czy trzykrotnie ten ser. Kiedy konsystencja była dość twardawa, wyjmowano to i kładziono na deski. Niżej była piwnica z solankami (roztwór bardzo stężonej soli), w której pływały te sery przez około tydzień, może nawet do 10 dni. I następna tura ... Później z tej solanki wyjmowano te sery i przewożono na wózkach z deskami do budynku bliżej remizy, do pomieszczeń piwnicznych z hermetycznie zamykanymi drzwiami. Musiała być odpowiednia temperatura 8-10 stopni. Jeśli pojawiła się pleśń, która do tych serów nie jest dobra, trzeba było to szorować i myć. Potem one schły i dojrzewały: od 30 dni do nawet pół roku. Przed wysyłką ser trzeba było zanurzyć w gorącej, czerwonej parafinie, wszystko ręcznie i oddzielnie każdy ser. Przyjeżdżał duży samochód i wysyłano. Jeśli czasem coś nie wyszło, bo różnie bywało, zawożono te niepełnowartościowe sery do tupałni w Goleniowie - na sery topione. Z czego wynikało to, że sery mogły nie spełniać norm? Czasem gospodarze używali antybiotyków, gdy krowy chorowały. W Reczu produkowano 2 czy 3 gatunki serów, zależnie od ilości soli czy ziarnistości sera. Ale produkowano tu dość dużo tego sera - 10 litrów mleka na kilo sera - ser musiał być tłusty. Śmietanę odbierał zakład w Choszczynie i tam robiono masło. Chcę zaznaczyć, że praca odbywała się w święta i niedziele. Mama miała tylko jedną niedzielę w miesiącu wolną.

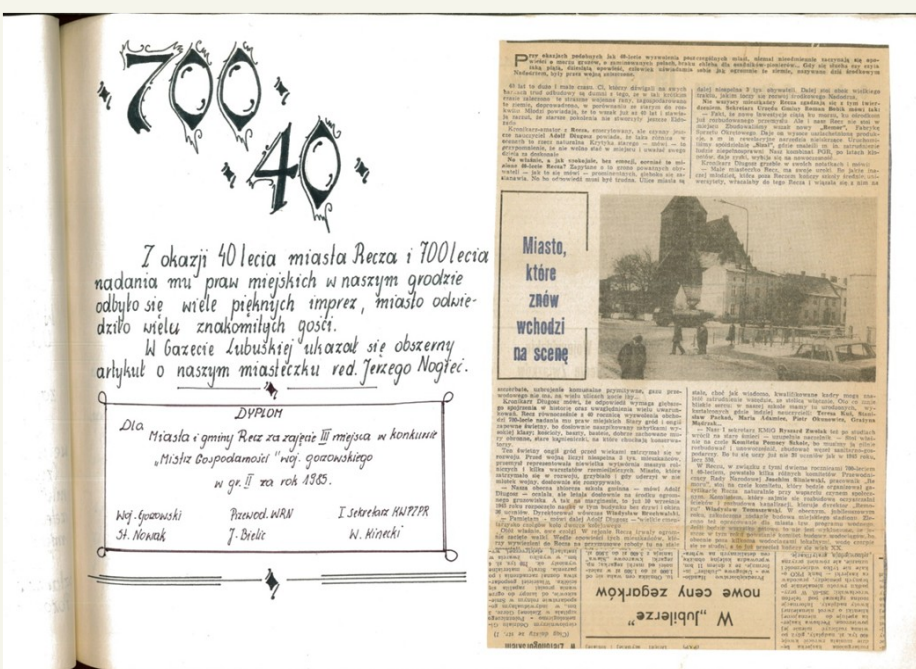
Mam miłe wspomnienia z mleczarni, bo jako małe dziecko jeździłam na zabawy choinkowe z prezentami, organizowane dla dzieci pracowników mleczarni przez zakład w Choszczynie (bo w Reczu była filia tego zakładu). Wówczas rozrywek w naszym mieście było niewiele. Wtedy, pamiętam, po raz pierwszy byłam w cyrku w Choszczynie - na tamte czasy była to nie lada rozrywka. Czasem się przyzwyczailiśmy, że mamy nie ma w niedzielę, więc trzeba było sobie obiad zrobić, ale taka kolej rzeczy ... wtedy więcej obowiązków na dzieci spadało. Tak się żyło ...

A ile trwał cały proces tworzenia sera?

Trudno powiedzieć, bo to się odbywało etapami. Proszę mi wierzyć, że w ciągu jednego dnia pracy przerabiano całą dwie wanny mleka. Potem do solanki, ale po tej solance ser jeszcze nie był dobry do spożycia. To były sery dojrzewające, więc trochę czasu musiało minąć.

Dużo Pani wie na temat produkcji sera i w ogóle o pracy w mleczarni

Wiem, bo jako dziecko czasem przychodziłam do mleczarni, na przykład przynieść mamie coś do zjedzenia. Pani kierownik pewnie jak widziała, że przychodzę do mamy, to trochę oko przyrywała, zwłaszcza wtedy, gdy praca musiała trwać nieco dłużej. Muszę powiedzieć, że interesowało mnie to. Z resztą mama też trochę opowiadała, gdy pyta-



łam, jak się robi sery. Ja lubiłam te twarde sery, a tych takich kruchych nie bardzo. Mama czasem przynosiła takie trójkątne wycinki serów, dawano je pracownikom, bo przecież nie wyrzuci się do kosza.

A czy Pani mama, Stefania, wspominała jakieś miłe chwile z pracy albo sukcesy jakie miała? Pamięta Pani?

Tak. Nieraz była zadowolona, gdy tego dnia wyszła cała udana partia produktu, nie było żadnej awarii. Bo powiem Wam, że te awarie były bardzo męczące: woda, elektryka, czyszczenie pompek, rurek ... Wszystko trzeba było szybko naprawić, a chodziło się w gumowcach, w fartuchach, w hektolitrach wody ... Organizowano jakieś wycieczki i imprezy dla pracowników, ale moja mama była raczej taką osobą cichą, wycofaną, także niekoniecznie mówiła o sukcesach. Tym bardziej, że nasz tato dość szybko umarł, za sześć lat jak mama pracowała. Także niekoniecznie się chwaliła. Ale organizowano sobie imieniny, spotykano się po pracy, gdy zakończyła się produkcja, gdy wszystko było posprzątane, a trzeba wiedzieć, że w mleczarni wszystko musiało być bardzo dokładnie posprzątane. Sanepid bardzo często przyjeżdżał, sprawdzał nawet ręce pracowników, przy skaleczeniu od razu pracownik odsunięty był od produkcji. W ogóle relacje między pracownikami były właściwe, spotykali się, robili sobie prezenty, piekli ciasta, pączki, robili sałatki ...

A jakie postaci, związane z mleczarnią może Pani wymienić?

Pracowników? No, Pani Maria Huszczonek była kierownikiem od kiedy ja pamiętam, bardzo życzliwa kobieta. Specjalizowała się na studiach w tym zakresie. Często z nią rozmawiałam o mleczarni, o życiu ... Pan Wacław Końciak, który obsługiwał wirówkę i inne mechaniczne urządzenia. Muszę powiedzieć, że jak swoją pracę zrobił, to zawsze przychodził i pomagał paniom. Każdy pracownik z resztą pomagał; każdy miał kartę zdrowia. Kto tam jeszcze ... Pani Zofia Maj też długo pracowała. Pani Drobniak. Ona bardziej zajmowała się dojrzewalnią, była szefem tego etapu. Po przejściu mojej mamy na rentę, przeszła na produkcję.

Nie pamiętam, kiedy przestała działać mleczarnia, ale było to wtedy, gdy zaczęto likwidować PGR - y i nie było mleka. Budowano duże kombinaty i te małe mleczarnie upadły. Nie robiono remontów, a musiał być gruntowne, wszystko musiało być wypłytowane, należało naprawiać urządzenia.

A czy mogłaby Pani wymienić osoby, które wspomina Pani miło z pracy Pani mamy, albo osoby związane z miastem, o których warto wspomnieć? Chodzi o osoby, które mieszkały w Reczu, a o których według Pani nie możemy zapomnieć.

Nie można zapomnieć o Pani Wyrozębskiej, która długo pracowała, była taką osobą, która wszystko otwierała, przyjmowała mleko ... Kto tam jeszcze ... Pani Majowa, wesola kobieta, która często kwiatkami zdobijała plac przy mleczarni, malowała płoty. Wszyscy śmiali się:



Po zdjęcie zasługuje na komentarz. Jest rok 1950. Na rynku umiejscowiona się na kilka dni karuzela. Dla dzieci wielka uciecha.

Proszę zwrócić uwagę na budynek stojący szczytem do Rynku. W tym budynku znajdowała się pierwsza restauracja w Reczu. Prowadził ją Feliks Bzuskowski. Później zamieszkała w nim Karolina Zajączkowska: rolnik.

Budynek nie remontowany uległ całkowitej dewastacji i należało go rozebrać. Dziś w tym miejscu znajduje się przystanek autobusowy.

Fotograf amator, wnikliwy obserwator życia i zdarzeń w mieście Franciszek Tatyrcza. W Reczu mieszkał od 1945 roku, zmarł w 1988 r.

Był aktywnym działaczem Rady Narodowej, dobrym pracownikiem Fabryki Sprzętu Okrełowego. Większość zdjęć w kronice została wykonana przez F. Tatyrczę.



„Majowa wymalowała już na maj te wszystkie murki...”. Kogo jeszcze wspomnieć ... ?

Niekoniecznie chodzi nam o osoby związane z mleczarnią ... kogo Pani uważa za taką postać?

Na przykład Pan Kalinowski, który był wtedy naczelnikiem, gdy dostaliśmy mieszkanie w bloku, a to było nie lada coś ... bardzo obiektywnie spojrzął na chatynkę z pruskiego muru mojej mamy, która wtedy była już wdową. Pan Szustkowski, po sąsiedzku, on też działał w Ręczu. Pana Kławiucia bardzo dobrze pamiętam, który też był naczelnikiem czy ... jak to wtedy nazywano ... chyba naczelnik, tak. Pan Babiak, który pracował w Komunalniku długie lata, też znany. Wymieniam urzędników. Powiem dlaczego. Mama nie mogła odejść od produkcji, taka była praca i obowiązki. Dużo rzeczy było scedowanych na mnie, załatwianie spraw w urzędach jako nieletnie dziecko, więc chodziłam takie sprawy załatwiać i dlatego znałam tych ludzi. By-



ła to duża odwaga z mojej strony ... dla dorosłego to drobiazg, a dla dziecka to nie lada wyczyn, by pójść i trafić do odpowiednich drzwi. Tak było.

A wracając do mleczarni, to jakie trudności napotkała Pani mama?

Chyba najbardziej to te awarie. To był główny szkopuł wszystkiego. Produkcja nie męczyła, bo mama to lubiła. Jak zdobyła mistrza, to musiała jakąś wiedzę mieć. Złościło ją, jak były problemy z antybiotykami i sery nie miały swoich właściwości ... to ją czasem denerwowało. W laboratorium okazywało się, że coś jest nie tak z mlekiem, a nie było informacji w mleczarni. Ale głównym problemem były awarie sprzętu i urządzeń.

A kiedy Pani mama skończyła pracę w mleczarni?

W 1991 roku.

Mleczarnia wtedy istniała?

Tak, istniała. Muszę jeszcze dodać, że jak czasami był remont pieca ciśnieniowego, bo taki tam był, to wtedy niektórych pracowników

wysyłano do Choszczna lub do Drawna, gdzie produkowano kazeinę z białka naturalnego. Tam dość ciężko ręcznie pracowano. To też był problem, bo trzeba było na nockę dojechać, czasem dojeżdżało się Zatomem (taki autobus był kiedyś). Ale to niedługo trwało.

A jak wyglądały godziny pracy?

Mama przeważnie szła na 7. rano i pracowała dopóki nie skończyła, do 17-tej. Przeważnie 16-17, bo formalnie było do 15-tej, ale często bywało, że kończyło się jednak później. Natomiast Pani Wyrozębska była do dyspozycji już od wczesnych godzin, bo musiała przyjąć mleko, jeśli gospodarz przywiózł wcześniej.

A czy ma Pani teraz jakieś marzenia czy oczekiwania związane z zawodem, który wykonywała Pani mama?

Powiem tak. Umiem zrobić serek topiony... Ale marzyłoby się, żeby coś takiego było w Reczu. Wiem jednak, że teraz taki zakład mógłby otworzyć tylko ktoś prywatnie. Wiem, że takie sery podpuszczkowe, ale miękkie, robią gospodarstwa agroturystyczne. Marzyłoby się, żeby to wróciło. Jak idę, to zawsze patrzę i wspominam.

A jak Pani mama zareagowała, jak zamknięto mleczarnię?

Mama bardzo ubolewała. Mówiła, że teraz nie będzie już nic, jak się likwiduje takie zakłady. Ale taka jest kolej rzeczy...

Jak tak Pani słuchamy, to mamy wrażenie, że ta mleczarnia to też Pani dzieciństwo.

Tak, tak ... Kiedyś pamiętałam więcej szczegółów, a teraz wiele rzeczy zamazało się w pamięci.

A jakich miejsc Pani najbardziej w Reczu brakuje?

No ... park jest, jaki jest. Patrzą często, bo mam niedaleko ogródek. Wiecie, co mi się marzy? Żeby któraś z baszt była widokowa, dostępna. Wiem, że trzeba remontu, zabezpieczeń, zdaję sobie z tego sprawę, ale jeśli nawet ktoś przyjedzie ze znajomych czy z zagranicy, to byłaby to wielka atrakcja, tak uważam. Nawet gdyby było to biletowane czy zorganizowana jakaś składka na odbudowę, to wydaje mi się, że wielu by się w to zaangażowało. I żeby wieża kościelna była zabezpieczona, to widoki byłyby ładne i atrakcyjne. Trochę boli mnie również to, że Ina jest niewykorzystana, zarośnięta. Wydaje się, że niepotrzebny byłby aż tak duży nakład, by to przywrócić. Nawet ja bym się przeszła, posiedziała i powspominała, bo kiedyś wiele osób chodziło nad Inę. Stary cmentarz, wodospad - dziś to wszystko nie jest zagospodarowane.

Proszę powiedzieć czy w dzieciństwie chciała Pani pójść w ślady mamy?

Niekoniecznie. Dlatego, że bardzo szybko weszłam tu do szkoły w katechezę, już jak miałam 17 lat. Jakoś mnie to pochłonęło, lubiłam to robić i tak zostało do dzisiaj. Pracuję już w tym zawodzie 40 lat.

Dziękujemy za rozmowę.



Post scriptum

O podróży do wyzwolonej ojczyzny

Mam na imię Kazimierz od chrztu świętego, nazwisko mi dali od razu (tak mi mówiła mama). Mam 57 lat no i VAT. Pochodzę z wielodzietnej rodziny składającej się z siedmiorga rodzeństwa, w tym jedna „róża”, siostra Danuta. Byłem drugim w kolejności z rodzeństwa.

Urodziłem się w mieście Rohotna koło Nowogródka (dziś Białoruś). II wojnę światową przeżyłem przy mamie, dziadku i trójce rodzeństwa, bez ojca, który został wcielony do armii i wywieziony na wojnę. Powrócił w roku 1947.

Dobre rzeczy i dobre czasy pamięta się długo, ale złe jeszcze dłużej. Chciałbym nakreślić podróż do wyzwolonej ojczyzny, tyle że nie było wiadomo do jakiej miejscowości. Załadowaliśmy się do bydłowego wagonu, gdzie nie było okien, tylko przesuwane drzwi. W naszym wagonie były trzy rodziny z dziećmi. Jeszcze nie umiałem liczyć, ale było nas chyba 14 osób plus cały dobytek zabrany ze sobą. Pamiętam, spało się pod samym dachem. Jedzenie na drogę, które mama przygotowała na podróż, zostało zapakowane na spód wagonu w drewnianym kufrze, które przejechało przez 2 tygodnie, aż do Stargardu, gdzie nas powitał nasz ojciec - wojak. Znaleźli się dobrzy ludzie, chcieli ulitować się nad biedną rodziną i okazać współczucie. Wszystko na pokaz. Ojciec był podoficerem, dlatego liczyli, że skorzystają u władz z jego obecności i tak było. Tylko nie dla siebie.

Transport, którym jechaliśmy, był długości ok. 1 km. Z przodu jechały rodziny, a następnie zwierzęta, przy tym osoby, które opiekowały się tym dobytkiem.

Wyruszyliśmy wiosną, pamiętam, że Święta Wielkanocne spędziliśmy w drodze na torach kolejowych, a nasze śniadanie: zamiast jajek były ziemniaki gotowane w mundurkach.

Nie chcieliśmy oglądać, jak nasi współlokatorzy upojeni bimbrem świętowali. Powiesili rozpaloną kozę (piecyk) w drzwiach i śpiewali.

Muszę wspomnieć, że transport, którym jechaliśmy, zatrzymywał się w niektórych miejscowościach i co niektórzy znaleźli sobie odpowiednie pomieszczenia na swoje zamieszkanie. Pociąg stał i czekał. Można było wybrać sobie odpowiednie miejsce, ale Kargule chcieli być razem, bo to będzie bezpieczniej.

Przez zazdrość i chciwość stali się wrogami dla siebie, ale jeszcze wojny nie wywołali, bo lepszy znajomy wróg niż inny.

Rozeszło się, że dwie rodziny miały wspólnych kuzynów w USA i jedna rodzina miała adres, druga nie. Pierwsza powołała się, że do Polski powróciła bez żywego i martwego inwentarza. W zamian otrzymali z UNRY konia z uprzężą i krowę, nie chwając się innym i nie dając adresu, ale kłamstwo jest zawsze kłamstwem i ma krótkie nogi, zawsze



się kiedyś potknie. Ta druga rodzina, będąca w sporze z tą pierwszą nie mściła się, a w tym czasie, kiedy zaczęły się problemy ze zdrowiem w tej pierwszej, wspomagała ich, bo to obowiązek chrześcijański.

Moja mama nie miała wykształcenia, ale potrafiła czytać i pisać, a serce miała szczerzote i duszę miała nieskazitelną, zaś umysł profesorski na

tamte czasy.

Moi rodzice mieli rodziny poza granicami Polski. W Kanadzie, Norwegii, Francji i Stanach Zjednoczonych. Wszystko rozsiało się po I i II wojnie światowej.

Gdy miałem 16 lat, przyjechał wujek z ciotką ze Stanów Zjednoczonych i widząc to ubóstwo, postanowili zabrać mnie ze sobą, były starania u władz PRL na adopcję jako syna i byłoby to możliwe, gdyby moja mama rozżalona, że tysiące kilometrów nie będzie widziała syna. I na tym się skończyło.

Mój dziadek - Kowszuka po I wojnie światowej wyemigrował do USA i tam się

ożenił z Mary Rozwadowski, siostrą słynnego generała. W latach 50. Mary Rozwadowski była w Krakowie i moi rodzice pojechali na jej zaproszenie, gdzie dowiedzieli się o całej sprawie. Rodzice moi nie dbali o bieżące kontakty z rodzinami z zagranicy i z biegiem lat starsi wykruszyli się, a ich dzieci już się nie kontaktowały. Gdybym miał w tym czasie wiedzę i ten co dziś rozum... Dzisiaj mogę tylko gdybać.

W roku 1946 przyjechałem z rodzeństwem, mamą i dziadkiem do Recza, gdzie zostałem do dzisiaj. Okres dzieciństwa spędziłem bardzo wesoło i pracowicie. Życie po wojnie było bardzo ciężkie, bo nie było pieniędzy, a kto je miał, to nie mógł nic kupić. Po prostu ludzie dzielili się przysłowiową kromką chleba. Była solidarność międzyludzka. Mama chcąc ugotować zupę, szła na pole, zbierała jakieś ziota jako przyprawę. Nie było prądu elektrycznego, gazu ani innego paliwa. Od najmłodszych lat każdy z rodzeństwa miał przydzielone obowiązki domowe, szkolne. Lekcje odrabiano się przy lampie naftowej, która miała szkło, a drugą mieliśmy z kałamarza szkolnego, gdzie bardzo mocno się kopcilo, a w mieszkaniu była chmura dymu.

Nie było ubrania, obuwia. W butach chodziłem do szkoły z bratem na zmianę, a młodszy brat, Janek, chodził do szkoły w pantoflach mamy o 4 numery za dużych, na wysokim obcasie. Do szkoły mieliśmy blisko, bo nasz dom znajdował się w miejscu, gdzie została wybudowana hala sportowa. Po zajęciach szkolnych braliśmy udział w odgruzowywaniu miasta, czyściliśmy cegły i układaliśmy w sztaple, żeby zrobić na ołówek, obsadkę, atrament i zeszyt, a o cukierkach nie było mowy, bo ich nie było.

Od wiosny, aż do przymrozków chodziło się w pole na bosaka. Bawiliśmy się w klipę, zbijanego, w noża i inne. Jeszcze piłki nożnej nie znaleźliśmy.

Panie nauczycielki na lekcjach były ubrane w spódniczki lub sukienki, nigdy nie widziałem w spodniach, a panowie nauczyciele w garniturach i obowiązkowo pod krawatem.

Po przyjeździe do Recza (Rzeczyca) moje pierwsze spojrzenie na miasto z torów kolejowych na dworcu zrobiło duże wrażenie. Schowane w dole, a najbardziej

widoczna budowla to kościół i dachy domów schowane między drzewa. Samo miasto zabudowane bardzo ściśle. Domy przylepione do siebie, niektóre uszkodzone podczas działań wojennych. Największe spustoszenie zrobili sami Polacy i ówczesne władze samorządowe, zezwalając na rozbiórkę i burzenie budynków niezamieszkałych, a cegłę pozyskaną wagonami wysyłało się na odbudowę Warszawy. Było takie przeświadczenie, że na „Ziemie Odzyskane” powrócą Niemcy, dlatego się nie budowało przez 25 lat, a więcej się burzyło. Domy, które były w złym stanie technicznym, pozostały do dzisiaj jako pamiątki historii, raczej pomniki historii.

Między ul. Leśną a ul. Choszczeńską był park miejski z alejkami wyposażonymi w ozdobne ławki, dużą salę widowiskową, która posiadała scenę obrotową. Obok parku, po stronie od ul. Choszczeńskiej były 3 strzelnice. Dzisiaj po tym wszystkim nie ma śladu, rośnie las.

W latach pięćdziesiątych stały fragmenty murów klasztornych przy ul. Kościelnej (dziś Rybacka) i na wzgórzu ul. Chyżej. CPN mieścił się naprzeciw rynku na ul. Środkowej.

Przed wojną miasto było zgazyfikowane. Gazownia mieściła się przy ul. Promenada do roku 1957 jako nieczynna. Została wyzłomowana. Przy ul. Lubanowskiej (dziś firma Nowak, również Zieliński) mieściła się fabryka maszyn rolniczych i kadłubów czotgowych.

Były 3 młyny: na wodospadzie Iny (koło leśniczówki), na ul. Choszczeńskiej naprzeciw parku i przy ul. Rybackiej. Dwie piekarnie: p. Koś i p. Flejter, potem trzecia spółdzielcza. Był jeden wiatrak na ul. Leśnej.

W późniejszym cza-



sie fabryka, która powstała w mieście to Fabryka Kartoniarzy, potem FSO, która zatrudniała już dość sporą ilość pracowników. Pomatu zaczęły rozwijać się inne zakłady państwowe. Rozlewnia piwa - przed wojną była tam fabryka czapek i butów dla niemieckiej armii.

W miejscu firmy okien „Nowak” wcześniej był ośrodek maszynowy, który świadczył usługi kowalskie dla ludności oraz wypożyczalnia sprzętu.

W późniejszym czasie powstała Baza Maszynowa świadcząca usługi dla rolników przy ul. Podgórznej.

Magistrat mieścił się tu, gdzie obecnie jest Urząd Miejski i zatrudniał burmistrza, sekretarza, referenta d.s. wszystkich i woźnego.

Szkoła siedmioklasowa: kierownik szkoły, siedmiu nauczycieli i woźny.

Recz po II wojnie światowej był miastem uprzemysłowionym. Z przekazu ludzi, którzy tu mieszkali, twierdzono, że miasto mogło liczyć ok. 10 tysięcy ludzi z dojeżdżającymi do pracy w zakładach na terenie miasta.

Wojsko sowieckie powracające z Berlina na wiat wyzwolonego Recza wysadziło kilkanaście domów przy ul. Środkowej słupami ognia.

Z pozostawionych zakładów pracy wywożono do Rosji urządzenia wszelkiego rodzaju, silniki elektryczne. Rabowano wszystko, co było cenniejsze w ich oczach.

Miasto mogło tanio się budować, ponieważ miało własną cegielnię w miejscu, gdzie p. Kacprzak ma stawy.

Mury obronne wyglądały bardziej okazale. Były wieżyczki, czatownie, które zostały zniszczone w latach 70. Uliczką obok hali sportowej schodziło się w dół i po schodkach (teraz zamurowane) do wielkiej sali widowiskowej, gdzie odbywały się zabawy, było kino objazdowe, potem stałe. Przyjeżdżał teatrzyk dla dzieci..

Na środku rynku stał pomnik postawiony dla żołnierzy wojennych. Z przekazu Polaków zamieszkałych po wyzwoleniu okazało się, że ci wyzwoliciele potopili się w alkoholu w gorzelni na Wielgoszczy. Zapili się na śmierć. Chodziłem do IV klasy szkoły podstawowej. W tym czasie zabierano ich szczątki do skrzyni spod tego

cmentarzyka i wywieziono do Choszczna.

Na początku lat 60. Powstał przy GS - ie zespół pieśni i tańca, do którego należałem, orkiestra dęta i mandolinistów założona przez p. Kolanko. Zespół ten brał udział w uroczystościach państwowych, takich jak 1 maja, 22 lipca oraz wyjazdach do miejscowości powiatu choszczeńskiego i raz w eliminacjach zespołów w Szczecinie.

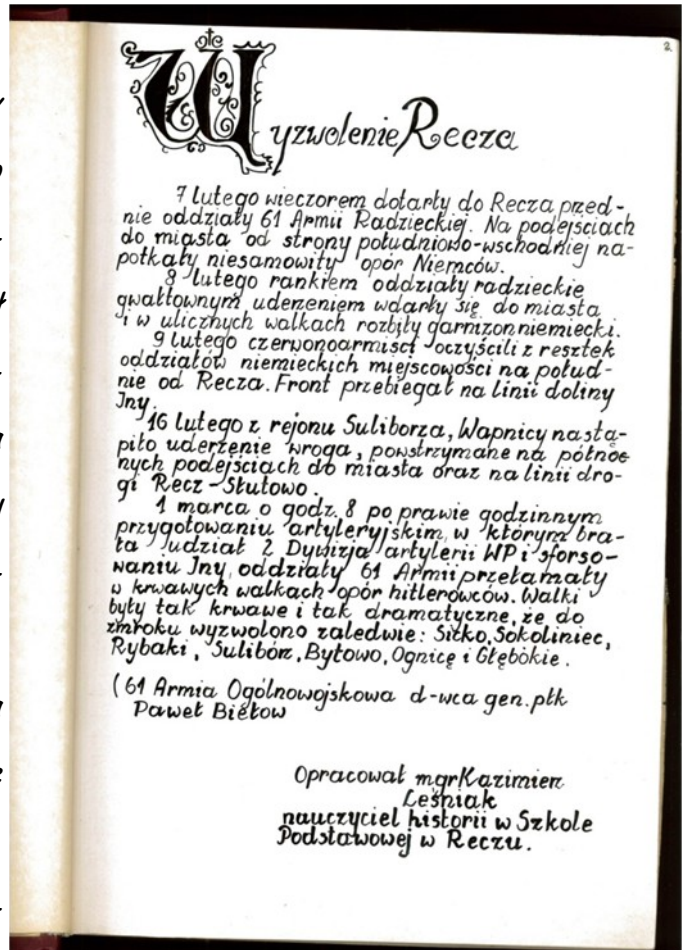
Na ulicach Recza 1 maja orkiestra dęta budziła mieszkańców już o godzinie 6.00 rano.

Od najmłodszych lat byłem przyzwyczajony do pracy fizycznej, żadną pracą nie gardziłem, także nie z jednego pieca chleb jadłem. Jeśli chodzi o chleb, to przyznam się, że potrafiłem w dzieży zrobić ciasto i upiec go w piecu, który był prawie w każdym domu, a piekło się chleb raz na tydzień, na prawdziwym zakwasie.

Podam taką ciekawostkę, że z całego miasta gruz został wywieziony w jedno miejsce, gdzie zbudowano stadion miejski.

Radio i rower to był rarytas, kupowało się na talony. Radio „Pionier” można było kupić wcześniej niż rower, bo rower mógł kupić pracownik państwowy, oczywiście na talon. W radiu słuchało się prawdziwych wiadomości z Wolnej Europy, które były zakazane. Agenci chodzili pod okna do ludzi podsłuchiwać, czego tam w domu słuchają. Było karalne za słuchanie Wolnej Europy.

Młdzież radziła sobie ze spędzaniem wolnego czasu, wyszukując ramy rowerowe, części do nich, składało się, a zamiast kół zakładano koła zębate ze wspomnianej fabryki. Jeździło się na takim rowerze jak na hulajnodze, odpychając się jedną nogą, a na chodniku pod oknami domów dawało efekt, takie terkotanie, czego nie lubiły mamy



małych dzieci, tego hałasu.

Czas zimowy to okres saneczkowania. Zbijało się dwie deski postawione na kant, do tego poprzeczkę i już sanki gotowe. Jak spędzało się zimowe wieczory? W moim domu moja mama miała kołowrotek, na którym przędła kądziel na nici, a z tych nici tkła na warsztacie tkackim materiały na koszule, spodnie, chodniki, dywany. Dla mnie było to bardzo ciekawe, pomagałem przy każdej pracy, którą polubiłem.

Przy długich wieczorach zimowych płęć męska zbierała się w umówionym domu, grało się w karty: tzw. durnia, tysiąca, nieraz w oczko na zapałki. Przy tym leciały kawały i inne opowieści.

Cały rytuał tzw. „pierzaka”. Zbierały się kobiety w domu, około 10, a nieraz i więcej. Skubały pierze kaczki i z gęsi kilka wieczorów, a przy tym słuchało się najprzeróżniejsze historie z życia wzięte. Na zakończenie „pierzaka” gospodyni szykowała wielką ucztę dla żołądka i głowy. Kiedy już posilili się biesiadnicy, wpadali kawalerowie, nie zamykali drzwi, dmuchali w to darte pierze, które fruwało po całym domu. Wówczas gospodyni musiała się wykupić, częstując mocnym trunkiem.

Opisuję rys z mojej pamięci, bo wszystkiego nie sposób opisać. Skupiłem się na czasach wcześniejszych mojego życia, bo już niewielu nas zostało, którzy mogliby zaświadczyć. Młódzież nie ma pojęcia, że można było żyć i cieszyć się z każdego wschodu słońca i zmęczonego dnia przed snem. Dzisiaj ktoś zapyta: Jak się żyło bez komórki, laptopa, telewizora, komputera i innych mediów? Ano się przeżyło. Też byłem młody i przeżywałem wzloty i upadki, ale wciąż się podnoszę. Młodość ma ten przywilej, choć świata nie zmieni, ale może go urządzić milej. Dzisiaj czuję się coraz to młodszym, ale do nieba. Zbliżam się do Niebieskiego Jeruzalem, ojczyzny każdego człowieka. Czekam na przygodę, która nigdy się nie spełni na ziemi.

W moim wieku często przytrafiają się choroby, które dają cierpienie. Nie pytam siebie - dlaczego? Ale dla kogo? Dlatego muszę trzymać się bliżej krzyża.

Recz. Niezapomniane! Fotorelacja



74.

ROCZNICA POLSKOŚCI NA ZIEMIACH ZACHODNIICH

29 marca 2019r.

HALA WIDOWISKOWO – SPORTOWA
W RECZU

„RECZ.
NIEZAPOMNIANE!”

PROGRAM:

- 16.00** - Sympozjum popularnonaukowe
„HISTORIA RECZA W KRONIKACH ZAPISANA”
- referat mgr Piotr Pawłowski
 - referat dr Eryk Krasucki
- (Chcesz posłuchać i podyskutować? Zapraszamy)*
- 16.30** - Muzyczno- poetycki wieczór wspomnień
„RECZ – JAK ZA DAWNYCH LAT”
- (Przypomnij sobie jak kiedyś było)*
- 17.15** - Wystawa zdjęć i pamiątek
„RECZ NA RZECZY – RZECZY Z DUSZĄ”
- (Przyjdź, odzyskaj siebie i miejsce, w którym pracowałeś)*

Serdecznie zapraszamy



Redakcja:

Hanna Szremska

Angelika Sikora

Aleksandra Tomicz

Sebastian Kotodziejcki

Aleksandra Gryczewska

Maciej Gryczewski